

86.

BIBLIOTECZKA TEATRALNA  
SERJA MĘSKA NR. 7.

# SERCE KAMIENNE

Dramat w czterech aktach.

Opracował

Ks. Józef Heinzel,

Salezjanin.



Nakładem Inspektoratu XX. Salezjanów w Oświęcimiu.  
Drukiem „Katolika”, sp. wydawn. z ogr. odp., Bytom G.-Ś.

BIBLJOTECZKA TEATRALNA  
SERJA MĘSKA NR 7.

---

# ERCE KAMIENNE

Dramat w czterech aktach.

Opracował

**Ks. Józef Heinzel,**  
Salezjanin.



Nakładem Inspektoratu XX. Salezjanów w Oświęcimiu.  
Drukarnią „Katolika”, spółki wydawn. z ogr. odp., Bytom G.-Ś.

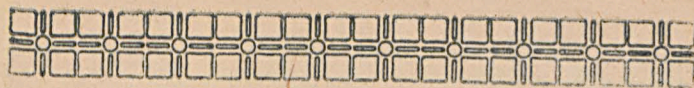
*OSOBY PROLOGU:*

EDMUND AKSEL, pułkownik i bankier.  
JULJUSZ CHYLEWSKI.  
IZYDOR BIENEK, pełnomocnik pułkownika.  
LOKAJ.

*OSOBY DRAMATU:*

EDMUND AKSEL, radca ministerjalny.  
JULJUSZ CHYLEWSKI.  
IZYDOR BIENEK, sekretarz Aksla.  
RADCA KARCZEWSKI.  
BARON LISKE.  
EUGENJUSZ KORCZAK.  
DOZORCA WIEZIENNY.  
KOMISARZ POLICJI.  
LOKAJ.  
STRAŻE MILCZĄCE.

(Prawa i lewa strona sceny od aktorów).



**PROLOG.**

Komnata bogato umeblowana. Z prawej strony w głębi drzwi główne, z przodu drugie drzwi. Z lewej strony apartament pułkownika.

**Scena I.**

BIENEK drzwiami głównymi i LOKAJ.

BIENEK: Czy pan pułkownik już wstał?

LOKAJ: Jeszcze nie; jednakże nie potrwa długo, a przyjdzie. Śniada zwykle o tej godzinie.

BIENEK: Nie mogę nań czekać, bo dzisiaj trzeba wyrównać rachunki i czynić wypłaty. Skoro pan przyjdzie, proszę mnie zawołać.

LOKAJ: Bądź pan o to spokojny.

BIENEK: Polecam się. (*wychodzi drugimi drzwiami na prawo*).

LOKAJ: Pan pełnomocnik bardzo mi się podoba; musi to być człowiek nadzwyczaj uczciwy. Ja nigdy się w ocenie ludzi nie mylę. A do tego pan pułkownik całkowicie mu ufa. To znak oczywisty. Gdyby spostrzegł w nim jakąkolwiek niewłaściwość, kto wie ile mil byłby już stąd daleko! Szkoda jednakże, że pozostaje w tym domu: przy swojej uczciwości mógłby znaleźć posadę w jakimby tylko zechciał banku... Jeśli się nie mylę... tak, to pan pułkownik.

**Scena II.**

EDMUND AKSEL, LOKAJ, BIENEK.

EDMUND (*wchodzi z lewej do lokaja*): Izydor?

LOKAJ: Znajduje się w biurze.

EDMUND: Zawołaj go i przynieś śniadanie. (*Lokaj wychodzi, a Edmund siada na sofie*). Dzisiaj dzień wypłaty, to prawda, ale otrzymano także duże sumy. Niema to jak spędzać życie wśród pieniędzy. Pieniądze! Wyraz to magiczny, powabny i słodki. Szczęśliwym się czuję, że mi się dało zebrać i złożyć w banku Demery 6 milionów. Zwłaszcza owa usługa, owo doniesienie najwięcej mi złota przyniosło! Odtąd też począłem wybijać się na powierzchnię i zdobywać wpływ w wysokich i najwyższych sferach. Prawda, że mogła się rzecz cała wykryć... ale szczęście mnie nie zawiodło. Kolega zniknął z powierzchni tej ziemi... ha, ha, ha, a ja zostałem miljonerem, bankierem... Wielki doprawdy ze mnie człowiek, trzeba to przyznać na moją chwałę.

LOKAJ (*wchodzi z lewej niosąc śniadanie*): Oto śniadanie.

EDMUND: Czy zawołałeś Izzydora?

LOKAJ: Idzie właśnie.

BIENEK (*wchodzi z prawej*): Dzień dobry panu pułkownikowi!

EDMUND: Witam pana pełnomocnika: Tomaszu, posłuż nam! (*lokaj służy*). Dzisiaj trzeba uiścić obligacje. Czy bank Demery już przysłał zwykłe kwoty?

BIENEK: Nie jeszcze. Przeciwnie, stawił się tu dziś agent firmy „Wisła“, aby podnieść z kasy 400 000 marek: prosiłem go, żeby wrócił trochę później, ponieważ nie nadeszły sumy oczekiwane.

EDMUND: Pozostałości w naszej kasie nie wystarczają?

BIENEK: Gdyby pieniędzy starczyło, jużbym wypłacił owe obligacje.

EDMUND: Ileż tam będzie wszystkiego?

BIENEK: Dokładnie nie wiem, ale będzie około 100 000 marek.

EDMUND: Czy możliwe? Zdaje mi się, że powinny być więcej.

LOKAJ (*bierze tace, filiżanki i wychodzi na prawo*).

BIENEK: Jestem gotów przedłożyć rachunki. Onegdaj po wypłaceniu weksła na 30 000 marek nie pozostało więcej jak 99 lub 100 tysięcy marek, ile sobie przypominam.

LOKAJ (*z prawej*): Jakaś osoba pragnie mówić z panem pułkownikiem.

EDMUND: Kto taki?

LOKAJ: Nie chciał wyjawić nazwiska. Powiedział tylko, że pana pułkownika dobrze zna; że jest pańskim przyjacielem.

EDMUND: Niech wejdzie. Izydorze idź do biura! Może przyjdzie ktoś...

BIENEK: Dobrze, klaniam się! (*odchodzi na prawo*).

EDMUND: Któż to będzie?

JULJUSZ (*wewnątrz na prawo*): Gdzież jest mój kochany i zacny Edmund Aksel?

EDMUND: Co za głos?

### Scena III.

JULJUSZ CHYLEWSKI i tenże.

JULJUSZ (*z hulaśliwą serdecznością*): Edmundzie!

EDMUND: Ach, więc się nie mylę. Juljuszu, to ty jesteś!

JULJUSZ: Ja sam we własnej osobie. Pozwólże się ucałować!

EDMUND: Z całego serca; po tylu latach, mój Boże!... no... jeszcze raz! (*całują się*).

JULJUSZ: Jeszcze raz, stary kolego z lat studenckich! Zaledwem przyjechał, skierowałem swe kroki do ciebie!

EDMUND: Dziękuję najmocniej. Przyjeżdżasz... a skąd?

JULJUSZ: Ze Szwecji. Przecież mówiłem ci o tem przed wyjazdem.

EDMUND: Rzeczywiście... Zapomniałem...

JULJUSZ: Zapomniałeś! To znaczy, zapomniałeś o naszej przyjaźni!

EDMUND: Co robić, wybacz mój drogi,... tyle spraw... kłopotów... mimo to ty pozostaniesz zawsze moim najdroższym przyjacielem.

JULJUSZ: No... dość o tem. Czy pamiętasz jeszcze jak ślubowaliśmy sobie dozgonną przyjaźń w szkole? Jak to w owych czasach znakomicie się dokazywało... owa zgniła cebula wymierzona w sam nos naszego stróża. Jeśli przedtem był długi jak dziób bociana, to potem przedłużył się w trąbę słoniową. A innym razem jak to nastawiliśmy mu łóżko, tak iż wieczorem zajechał z nim ad inferos... ha... ha... ha!... „Hultaje, kto odważył się na taką zbrodnię?“ A my, pst!... ha... ha... wesole, szczęśliwe to były lata.

EDMUND: Mieliśmy ciągły karnawał... a owa wyprawa na kielbasy... Zajadało się później tem smaczniej im bardziej kucharz wyjeżdżał i piorunował na szczury. Byłeś zawsze znakomitym hultajem.

JULJUSZ: Co robić?... gdy się jest chłopcem... Ale teraz nabrałem rozsądku i dzięki temu teraz mi się dobrze wiedzie.

EDMUND: Czy tak? To mnie cieszy.

JULJUSZ: Dziękuję... złożyłem nie jeden miljonek w banku Branville... Jak się dowiedziałem... ty również stałeś się milionerem... doskonale... wiesz! Ale powiedzno, co się stało z twoim siostrzeńcem, z owym tatusiem Eugenjuszem Korczakiem?

EDMUND (*miesza się*): Z Eugenjuszem?

JULJUSZ: No tak!... czy nie przypominasz sobie, jak nazwaliśmy go tatusiem dlatego, że był znacznie starszym od nas?... Oddawna już nic o nim nie słyszałem.

EDMUND (*j. w.*): Właściwie... także *ja*... nie... wiem... dlaczego... to znaczy... oto...

JULJUSZ: Co za dziwaczna gadanina? właściwie... dlaczego... to znaczy... oto...

EDMUND (*opamiętawszy się*): Pochodzi to z przykrości, jakiej doznaję z tego powodu, że od czasu swej służby wojskowej nic o sobie znać nie daje.

JULJUSZ: A więc wstąpił do legjonów tak jak ty?

EDMUND: Ale przyrzekł, że w swoim czasie znów się zjeździemy lub też napisze... tymczasem upłynęło już kilka miesięcy... zapewne gdzieś zginął albo poległ...

JULJUSZ: Biedaczysko... szkoda go! Jeżeli zginął, niech nam za to zdrowie służy dopóki on nie wróci.

EDMUND: Nic pewnego nie wiem... przypuszczam tylko...

JULJUSZ: Jeżeli dotąd nie pisał, to niezawodnie mu się zmarło. Dlaczego to spieszyło mu się przyjść przed nami na świat? Słyszałem, że znajdował się w potrzebie...

EDMUND: Nie mówmy więcej o tych smutnych rzeczach, bardzo mię to martwi.

JULJUSZ: Masz rację, rozmawiajmy o rzeczach wesołych; przecież to karnawał! Trzeba pamiętać o zabawie. ...Czy nie przygotowałeś czego tu w Warszawie?

EDMUND: Niczego... nie znajduję już przyjemności w zabawach.

JULJUSZ: Ohc! czy może przypadkiem nie stałeś się odludkiem? Nie mogę temu wierzyć... nie odpowiada temu twój temperament... Z mej strony, widzisz, ledwim przyjechał, a już poczyniłem przygotowania do zabawy na jutro... cdbędzie się wieczorem, a ty musisz także być obecnym.

EDMUND: Pozwól, mój drogi, że się wymówię...

JULJUSZ: Tu może być mowy o wymówkach... będzie wspaniała piknik na sali mojej gospody... zbierze się mnóstwo przyjaciół... nie może więc brakować ciębie, najdroższego z pomiędzy drogich...

spędzimy miły wieczór... kuchnia nie zawiedzie, wina będą wyborne, zabawy przyjemne... pojutrze pójdziemy do teatru na nową sztukę... i tak spędzimy wesoło karnawał...

EDMUND: Najwidoczniej wcale się nie zmieniłeś... pozostałeś lekkoduchem, jakim byłeś zawsze.

JULJUSZ: Lekkoduchem nie jestem, lecz człowiekiem kochającym życie... wesołość jest dla mnie eliksyrem życia... bez którego w przeciągu trzech dni szczyłbym na suchotnika... A zatem sprawa załatwiona... jutro na ucztę, pojutrze na przedstawienie a następnie wymyślę się coś nowego... tymczasem do widzenia...

EDMUND: Jak to, już uciekasz?

JULJUSZ: Tylko na chwilę... muszę dać ostatnie rozporządzenia do wieczerzy... zamówić miejsca w teatrze... to nie potrwa długo...

EDMUND: Przy tem wszystkim anim cię na kawę nie prosił... pozwól...

JULJUSZ: Nie, nie... dziękuję... nie spiesz się... później!... Tymczasem do widzenia, mój kolego... bądź dobrej myśli... daj ręki! (*Idzie na prawo*).

EDMUND: Trzeba przyznać, że miły z niego człowiek... zazdroścę mu jego wesołości... tylko to marnowanie grosza jest godne nagany... Podobne wybryki mnie się nigdy nie zdarzają. Lecz skoro on płaci... wolno używać!... zabawy szumne zawsze mnie pociągały... Ale co do licha skoczyło mu do głowy pytać się o Eugenjusza? To imię przeraziło mnie niemało... nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć?... Obawiałem się zdrady moich własnych uczuć. Dotychczas zapewne już zginął w więzieniu... może się nie pomyliłem, mówiąc, że prawdopodobnie zginął?... Eh, co tam dłużej sobie tą sprawą głowę zaprzatać... przywołuje mi tylko wspomnienia, które zostać powinny we wiecznem zapomnieniu!...

#### Scena IV.

BIENEK i tenże.

IZYDOR: Panie pułkowniku...

EDMUND: I co nowego? Co zaszło? Wydajesz mi się bardzo zaniepokojony?

IZYDOR: Nie chcę tracić otuchy... ale lękam się straszego nieszczęścia...

EDMUND: Dla Boga! co mówisz? Czy może wykryto?...

IZYDOR: Więc to rzecz pewna?... także pan pułkownik o tem wie?

EDMUND: Jakżesz się to stało? kto to wyjawił? powiedz, czy może Eugenjusz?

IZYDOR: O kim pan pułkownik mówi? pan pułkownik mnie nie rozumie... Ja myślę o owym agencie „Wisły“, który nie wiem, czy nazywa się Eugenjusz, lecz żąda natychmiastowej wypłaty swych obligacyj. W przeciwnym razie grozi opieczętowaniem banku i procesem... Ja nie jestem w możności zaspokoić go, bo bank Demery nie przysyła zwykłych rat...

EDMUND (*d. s.*): Ach!... o małym się nie zdradził. (*Do pełnomocnika*) Wybacz... byłem roztargniony... ten mój przyjaciel tyle mi rzeczy nagadał, że wcale nie mogłem się połapać... Wnet wszystko się załatwi!... Napisz zaraz do banku Demery, żem ja nie zwykł się blamować wobec swoich klientów... że cofam wkładki, skoro w ich banku zbywa na punktualności... Tymczasem starajmy się o przedłużenie sprawy...

IZYDOR (*napisawszy list*): List już przygotowany... tylko go podpisać i wysłać...

EDMUND: Bardzo dobrze. Dziękuję ci za zapobiegliwość... oddaj go lokajowi, niech zabierze także inne listy. Tymczasem staraj się wyperswadować owemu agentowi, że chodzi tylko o kilka chwil.

IZYDOR (*do siebie*): Idę czempredzej! Serce moje przeczuwa jakiś krach... Co to będzie? Niech was niebo strzeże! (*odchodzi na prawo*).

EDMUND: Jeszcze jedno słówko, a byłbym sam się zdradził... byłoby się wykryło to, co od wielu lat jest tajemnicą nieprzeniknioną!... Że też musiało paść z ust Chylewskiego to złowrogie dla mnie imię!... Ale dosyć tego... czas o czym innym pomyśleć!... Trzeba mi zająć się ostatnim wypadkiem... Bienek za bardzo się tą sprawą przejmuje i trwoży... Może to skutkiem wielkiego przywiązania do mojego domu? jednakże nie należy przekraczać miary... A gdyby... przypadkiem... ów bank?... na Boga!... byłbym zrujnowany zupełnie... Eh, to jakaś mara, jakieś przywidzenie mnie trapi... Dom tak poważny, za jaki uchodzi bank Demery, nie zaniedba swej powinności. Odpędźmy złe myśli... trzeba mi nieco ochłonać, aby spokojnie całą sprawę rozważyć...

### Scena V.

BIENEK i tenże.

EDMUND (*do pełnomocnika wchodzącego z prawej*):

A więc Bienku, nie masz żadnych wieści od Demery?

IZYDOR: Jest tylko list z Marsylji...

EDMUND: To napewno od niego (*otwiera list i spogląda na podpis*). Ach nie... to mój przyjaciel Dormeuil!... Czego on sobie życzy? Zobaczmy... „Spełniam niezmiernie przykry obowiązek, donosząc ci o nader bolesnym wypadku... Czynię to w tym celu, abyś mógł na czas o swoim niebezpieczeństwie pomyśleć!... O nieba... co widzę?... o zgrozo!... nieszczęście... Demery zbankrutował!... (*bierze się za włosy i wydaje rozpaczliwy okrzyk*): wszystko stracone!... (*spada na krzesło*).

IZYDOR (*biegnie mu na pomoc*): Panie pułkowniku, na Boga, nie desperuj pan!...

EDMUND: Jestem zgubiony... zrujnowany... wszystko przypadło... (*chce wychodzić*).

IZYDOR: Dokąd pan pułkownik zamierza? Uspokój się, panie Edmundzie! (*zatrzymuje go*).

EDMUND: Puść mnie!... puść mnie!... nie chcę i nie mogę przeżyć tego nieszczęścia!... to zgroza!... puść mnie!...

IZYDOR: Nie puszczę, dopóki się pan nie uspokoi.

EDMUND: Mnie już nieżyć... Życie żadnej już niema wartości!... puść mnie!...

IZYDOR: Przenigdy... dla Boga, przecież znajdzie się sposób... tylko nie trzeba zaraz wątpić!... Ufaj pan!... pozostaje jeszcze Opatrzność Boża...

EDMUND: Opatrzność?... Pieniądzy, pieniędzy mi potrzeba... bo jeżeli nie wypłacę dzisiaj 400 000 marek, przypadnie wszystko, sprzęty, dom cały pójdzie na licytację... a mnie zaaresztują!...

IZYDOR: Znajdzie się przecież jakiś przyjaciel, który pana pułkownika poratuje!

EDMUND: Przyjaciel, przyjaciel mówisz? Czy nie wiesz o tem, że w przyjaciół nikt niema wierzyć? Dopóki jesteś bogaty, opływasz w dostatki, świadczysz dobrodziejstwa, dopóty znajdziesz przyjaciół licznych... ale gdy szczęście się od ciebie odwróci i popadniesz w nędzę, wtedy nikt cię nie zna, wszyscy cię unikają.

### Scena VI.

LOKAJ, potem CHYLEWSKI i poprzedni.

LOKAJ (*z prawej strony*): Prędko, prędko na miłość Boga!... spieszcie się...

EDMUND: Oto, oto... ta okropna chwila...

IZYDOR: Ano i co się stało?

LOKAJ: Przyszedł komisarz policji i strażnicy, żeby wszystko opieczetować... Pytają się o pana pułkownika... ukryj się, panie... uchodź!

EDMUND: A gdzie się ukryć, dokąd uciekać?... co tu począć?... niema wyboru... raczej zginąć aniżeli...

JULJUSZ (z prawej): Co się tu dzieje? co to znaczy... komisarz, strażnicy?... Edmundzie na Boga, co tobie? mów, powiedz, co tu zaszło...

EDMUND (przez łązy): Ach! mój drogi przyjacielu, jestem zrujnowany...

JULJUSZ: Jak? co?

EDMUND: Doszczętnie zrujnowany... Demery zbankrutował... uszedł... a moje kapitały z nim... nie mam czem wypłacić obligacji... i... oto przychodzą, aby mnie uwieźć... Już są tutaj... usuńcie się... pozostawcie mnie!...

JULJUSZ: Powoli, powoli! tyle hałasu dla takiej błahostki?

EDMUND: I ty sobie drwisz ze mnie!...

JULJUSZ: Do stu kadłubów lewjatanów morskich!... czyż moja obecność tu nic nie znaczy?

EDMUND: Jak to?

JULJUSZ: Gotów jestem wyzwąć cię za to, żeś się nie zwrócił natychmiast do mnie...

EDMUND (wzruszony): Czyż możliwe?...

JULJUSZ: Z pewnością!... w nieszczęściu poznaje się prawdziwych przyjaciół. Nie zrobiłbyś ty dla mnie tego w podobnym wypadku?

EDMUND: Mogę więc ufać?

JULJUSZ: Nie tylko ufać, ale być pewnym. Dalej... mów prędzej, ile ci potrzebna?

EDMUND: Dla Boga, mógłbym oszaleć z radości... mój ty drogi, niezrównany przyjacielu!... (obejmuje go).

JULJUSZ: Pieść się, ile ci się tylko podoba... Ale pamiętaj, że czas ucieka... czy można się dowiedzieć, jakiej ci sumy potrzeba?

EDMUND: Sumy bardzo znacznej... 400 000 marek.

Możesz jednakże wziąć w zastaw, co tylko zechcesz, wyznaczyć jakikolwiek procent, ale tyle mi potrzeba...

JULJUSZ (wydobywając z pugilaresu banknoty, przegląda i daje w ręce Edmunda): Oto 400 000 marek.

EDMUND: Życie mi wracasz... jakże będę mógł odwdziżyć się tobie za takie dobrodziejstwo?... moje życie, moja krew, wszystko do ciebie należy...

JULJUSZ: Do licha, ile gadaniny! nie chcę niczego oprócz twojej przyjaźni. Kochajmy się... to mi wystarczy!...

EDMUND: Któżby mógł cię nie kochać, zwłaszcza po takim dobrodziejstwie?

JULJUSZ: No tak, tak!

EDMUND: Ale nie zapominajmy o pokwitowaniu...

JULJUSZ: Na razie nie żądam, pokwitujesz, gdy ci się spodoba... Wierzę tobie jak sobie samemu, jak ty mnie. Gdy się stosunki poprawią tak, iż ta suma stanie ci się niekoniecznie potrzebną, to mi ją zwrócisz. Teraz pomyśl o uregulowaniu twoich spraw i tym sposobem dowiedz światu, że mimo upadku banku Demery, ty zawsze jesteś ten, co dawniej...

EDMUND: Tak, dobrze... mój Juljuszu! zdumienie i radość przyprawiają mnie niemal o rozum. Masz, biegnij Izidorze, (daje mu banknoty) wypędź urzędników i straż i obwieść światu, że jestem człowiekiem uczciwym i honorowym, że w mojej kasie nie brakuje pieniędzy, a to dzięki wspaniałomyślności mojego przyjaciela...

JULJUSZ: Nie, nie — nie wspominaj o mnie, proszę cię. Cóż w tem tak wielkiego, że się przyszło przyjacielowi w pomoc w ciężkiej chwili? Cały świat ma o tem wiedzieć? Nie tak, Izidorze, ani słowem nie wspominaj o mnie! Powiesz tylko, że jest niedziwym kłamcą, kto twierdzi, że Edmund Aksel nie umie sprostać swoim obowiązkom.



EDMUND: Niechże już tak będzie, jak sam sobie życzysz.

IZYDOR: Idę czempredzej... Tomaszu, chodź ze mną! To, to jest prawdziwy przyjaciel! *(odchodzi z lokajem na prawo)*.

JULJUSZ: A teraz, co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Na razie żegnaj cię... do zobaczenia nie później jutro wieczorem... nie każ na siebie czekać z Bogiem!

EDMUND: Nieomieszkam. Pozwól, że cię jeszcze raz uściskam.

JULJUSZ: Owszem, czuję się nader szczęśliwym... no, bądź mi zdrow! *(ściskają się)*.

Koniec prologu.

## AKT I.

Po trzech latach.

Sala przytykająca do sali balowej, bogata, dobrze oświetlona pająkami, kanapa itd. Na prawo sala balowa, na lewo inne drzwi. Orkiestra gra polkę lub coś wesolego.

### Scena I.

EDMUND *(sam w czarnym kostjumie i masce)*: U! jak tu gorąco w tej sali. *(odkłada maskę)*. Tutaj przynajmniej można spokojnie odetchnąć *(siada)*. Jestem zmęczony... już od trzech godzin się tańczy... a owa maska hiszpańska ciągle mnie śledziła... kto to być może? Wciąż się do mnie zbliżała, raz nawet chciała ze mną tańczyć... może to sam pan minister?... Mówiono, że miał przybyć na zabawę... być może... Dzięki wielkiemu spadkowi po wuju i mojej randze zostanę prawdopodobnie mianowany ambasadorem? Ha! jużem to oddawna przeczuwał, że stanę się czemś znacznym... Jak to błogo człowiekowi na duszy, gdy z jednej i z drugiej strony zwracają się

do mnie z pełnemi uszanowania wyrazami: Panie radco!... rozkosz to jedyna w swoim rodzaju... Czuję, jak rosnę w oczach wszystkich... Postępuję z należytą powagą, nakazującą uszanowanie... Widzę, że mi to bardzo do twarzy... A ci, co cieszyli się z mojego nieszczęścia, gdy zbankrutowałem i już myśleli, że upadł na zawsze, gryzą się z zazdrości... Ale ja z wysoka na nich spoglądam i mówię: precz stąd!... owszem nawet nie patrzę na nich: jako radca sprawiedliwości i kilkakrotny milioner gardzę pośpółstwem...

### Scena II.

BIENEK *w zielonym domino z maską w ręku*.

IZYDOR *(z prawej)*: Ach! pan radca tutaj?...

EDMUND: Toś ty Bienku?

IZYDOR: Szukałem pana radcy wszędzie.

EDMUND: Schroniłem się tutaj, bo w sali balowej gorąco nie do wytrzymania...

IZYDOR: To prawda... ale jaki przepych, jakie życie! Pan radca Karczewski święci prawdziwy triumf... dyplomatyczny... Zyska z pewnością ambasadę przy jakim dworze królewskim, bo...

EDMUND: Bo rzecz znana, że pieniądze są źródłem nowych skarbów... Niech żyje nasz wiek!... do licha... minęły już niepowrotnie owe czasy, gdy to wynagradzano tylko mądrość i wiedzę, gdy pierwsze miejsca w urzędach dostawały się tylko mężom uczonym! Obecnie panują inne zwyczaje: zważa się tylko na szansę, liczy się złoto... Dowodem tego jestem ja sam... Byłem sobie pułkownikiem i bankierem, czczonym, poważanym przez wszystkich. Powszechnie znano mnie jako człowieka zdolnego, sprytnego, a nawet uczonego, nadeszła chwila krytyczna, zdawało się, że stoczę się w przepaść nędzy i hańby. Przypominasz sobie ową chwilę?... jest temu trzy lata... wtedy, wtedy szacunek i poważanie ludzi roz-

wiały się jak mgła pod tchnieniem wiatru. Ponownie staje się bogaczem i nadspodziewanie przychodzi mi niezmierna fortuna po wuju, zdobywam posadę i tytuł radcy sprawiedliwości i oto znów jestem człowiekiem niezrównanym, uwielbianym, poszukiwanym w towarzystwie i mam widoki otrzymania ambasady przy jednym ze znaczniejszych dworów w Europie.

IZYDOR: Winszuję z serca panu radcy przyszłej nominacji; jestem jednakże przekonany, że wielką część swego szczęścia zawdzięcza pan radca swemu przyjacielowi Juljuszowi Chylewskiemu. Gdyby nie on w tym dniu niefortunnym...

EDMUND: Nie przywódcz mi na pamięć wspomnień niemiłych... o przeszłości nikt już nie myśli. Patrząc należy na to, co jest, a nie na to, co było... zresztą przyznaję... była to usługa znaczna... ale przecie był on moim przyjacielem... a pomiędzy przyjaciółmi...

IZYDOR: Drogi panie, typ przyjaciół w rodzaju pana Chylewskiego już prawie całkiem zaginał... Jeżeli się znajdzie jednego, to nawet niema co marzyć o drugim podobnym. Jedno pytanie: Czy dług zaciągnięty u pana Juljusza został już wyrównany?

EDMUND (do siebie): Co temu znów strzeliło do głowy?... (głośno) Nie miałem po temu sposobności; odkąd wyjechał do Szwecji, nie mam od niego żadnych wiadomości... Zresztą... jemu nie potrzeba takiej drobnostki.

IZYDOR: Drobnostki?... 400 000 marek to przecie nie drobnostka... Przyznaję, że może ich nie potrzebuje, gdyż byłby się już o nie upomniał... ale skoro... ale skoro pan radca zdobył tak ogromną fortunę, to zdaje się, że byłoby powinnością zwrócić uzyskaną sumę właścicielowi z podzięką... To napewno nie drobnostka...

EDMUND: Koniec końców nie rozumiem, o jakiej ty

powinności gadasz?... Przecież ja nie jestem nikomu nic winien... nic najzupełniej...

IZYDOR: Jakże to?

EDMUND: On podarował mi te pieniądze; uczynił mi prezent.

IZYDOR: Ale gdzież tam... działa się to w mojej obecności i wyraźnie słyszałem jak mówił, że wypożyczył panu radcy tej sumy.

EDMUND: Jesteś skończonym idjotą... sam nie wiesz, co mówisz. Gdyby mi był tylko pożyczył, to napewno otrzymałby pokwitowanie.

IZYDOR: Na Boga, co też pan radca mówi? Pan radca chciał wystawić mu rewers, on jednakże zrezygnował, ufając pańskiemu słowu.

EDMUND: Powtarzam, żeś idjotą. Któż to w naszych czasach zaufa gołemu słowu? Ktokolwiek powierza drugiemu choćby tylko szeląg, żąda zawsze pokwitowania, a ty śmiałyś twierdzić, że ktoś był gotów wydać mi 400 000 marek bez pokwitowania? To chyba żarty, mój drogi, gadanina, fraszki...

IZYDOR: Zatem pan radca twierdzi, że pan Juljusz nie jest pańskim wierzycielem?

EDMUND: Co w tem dziwnego? Ja długów żadnych nie miałem ani mieć nie chcę... Kto się wykaże pokwitowaniem, zostanie natychmiast zaspokojony: czarne na białem to zasada, od której głupiec chyba odstąpi.

IZYDOR: W każdym razie jest to postępek...

EDMUND: Hola! Któż to upoważnia cię do kwalifikowania moich czynności? Zaslugujesz na politowanie, mój prostaku, snąc jesteś nieobeznanym ze zwyczajem światowym. Tak postępując, nigdy niczego się nie dorobisz... będziesz nędzarzem i skończysz w szpitalu.

IZYDOR: Zawsze atoli jako człowiek uczciwy.

EDMUND: Ha, ha, ha, ucziwy!... ty nie wiesz nawet, na czym polega ucziwość...

IZYDOR: Chociażbym mógł posiadać całą ziemię środkami niegodziwymi, poszedłbym raczej o żebraczym kiju aniżelibym zaprzedał swoje sumienie.

EDMUND: Pobudzasz mnie do śmiechu z tem twojem sumieniem i z temi niegodziwymi środkami!... Kiepski z ciebie moralista... Ty nie znasz zasady, która mówi że cel, powodzenie to wszystko... Wszystko co jest korzystne, jest także godziwe...

IZYDOR: Proszę pana radcy sprawiedliwości... nigdy takich zasad w nim nie przypuszczałem. Należy pamiętać nie tyle na cel najbliższy ile raczej na cel ostateczny. Jest Bóg nad nami, stróż sprawiedliwości i mściciel zdrady... Pan radca pozwoli... wracam na salę... w razie potrzeby tam mnie będzie można znaleźć... Kłaniam się... *(nakłada maskę i wychodzi na prawo)*.

EDMUND *(zastanawia się)*: Zaufał mi, tem gorzej dla niego, mógł być ostrożniejszy... bez rewersu nie może żądać odemnie ani szeląga... W każdej chwili mogę mu w oczy powiedzieć: Przyjacielu, mylisz się, nicem ci nie winien!... Pozwie mnie do sądu, każe przysiąc, — ba!... przysięgnę i sprawa załatwiona... Słyszę... że ktoś się zbliża... nałożmy sobie maskę! *(wkłada)*.

### Scena III.

CHYLEWSKI w *kostjumie hiszpańskim* i tenże.

CHYLEWSKI *(do siebie)*: Nareszcie go znalazłem... oto mój przyjaciel Edmund, mój świeżo upieczony radca sprawiedliwości... Do licha! muszę go nieco naciągnąć.

EDMUND *(do siebie)*: Znowu ta maska hiszpańska... dlaczego się ona wciąż czepia mojej osoby?

CHYLEWSKI *(zmieniając głos)*: Dobry wieczór! dobrodziejko w masce!

EDMUND *(do siebie)*: Bierze mię za kobietę... *(zmienia także głos)* Dobry wieczór, czy już natańczyłeś się do syta?

CHYLEWSKI: Bardzo przyjemnie, raz nawet tańczyliśmy razem...

EDMUND: Czy tak być może...

CHYLEWSKI: Znam ja cię, mój ptaszku.

EDMUND: A może też nie; dalej, powiedz kto jestem?

CHYLEWSKI: Ty, ty, ty jesteś... nie chcę ci tego powiedzieć...

EDMUND: Masz słusność, nie mów tego, czego nie wiesz...

CHYLEWSKI: Nie wiem? przyjmujesz zakład o wieczere, jeżeli ci powiem, kto jesteś?

EDMUND *(do siebie)*: Tegoby jeszcze potrzeba! Ja nigdy o nic się nie zakładam.

CHYLEWSKI: Oho!... boisz się przegranej... niema czego!... Ja się zadowolę drobnostką... jedno danie flaczków... flaczki są moim pokarmem ulubionym... potem zupa z raczków... potem kurczę pieczone... zraziki, kluski nadziewane... kluski takie są specjałem dla mnie. Do tego nieco szyneczki, sera, owoców i to wystarczy... Jestem dyskretny, nie prawda?

EDMUND: Niema co mówić, bardzo... za bardzo dyskretny... tego naprawdę zbyt mało...

CHYLEWSKI: Jeżeli chcesz co dodać... masz wolną rękę... Jadam bardzo mało...

EDMUND: Oczywiście...

CHYLEWSKI: Zatem, ty jesteś, jesteś Edmund Aksel, radca ministerjalny.

EDMUND *(zdejmując maskę)*: Przed tobą maska nic nie znaczy.

CHYLEWSKI: Ha, ha, ha, wygrałem wieczerzę, a ty ją zapłacisz.

EDMUND: Nie zakładałem się... a ty kto jesteś?

CHYLEWSKI: Kto jestem? jestem Hiszpan! przypatrz się dobrze... jestem Hiszpan z Hiszpanji...

EDMUND: Lubisz krotchwile... chce ci się żartować...

CHYLEWSKI: Nie żartuję nigdy, zwłaszcza gdy chodzi o wieczerzę, którą ty musisz zapłacić... drobnotka, pamiętaj: flaczki, raczki, kurczęta, zra...

EDMUND (*przerzywa*): Czy nareszcie zechcesz się dać poznać?

CHYLEWSKI: Jakto, jesczczem tego nie uczynił?... Do licha!... toż dopiero zawiniłem... jestem Hiszpan...

EDMUND: Z Hiszpanji...

CHYLEWSKI: A przyszedłem, żeby zobaczyć mego nowopieczonogo radcę sprawiedliwości.

EDMUND: Zbyt wiele zaszczytu, mój panie!... skoro nie chcesz wyjawić swojego nazwiska, to pozostawiam cię sobie samemu...

CHYLEWSKI: Więc to tylko o moją nazwę chodzi? W takim razie trzeba ją czempredzej wyjawić... (*jąka się*) otóż nazywam się Pac, Puc, Pafnuc, Pan Pat, Pankracy.. Puf...

EDMUND: Acanie dosyć!

CHYLEWSKI: Jeszcze nie dosyć... mam jeszcze trzy inne nazwy... Pro, Protazy...

EDMUND: Dosyć, mówię, tych żartów...

CHYLEWSKI: Wszystkie zaczynają się na P..., gdyż moja rodzina lubi bardzo P..., a to dlatego, że...

EDMUND: Do widzenia!...

CHYLEWSKI: Idę z tobą, może to już na wieczerzę?... będę ci towarzyszył. (*Bierze go pod ramię*). Flaczki, raczki, zraziki!

EDMUND (*zły*): Panie!

CHYLEWSKI (*zdejmuje maskę*): Co za potwór z ciebie.

EDMUND (*przeżażony*): Juljusz—!

CHYLEWSKI: W własnej skórze... żadasz satystakcji? Chodź tu w moje ramiona!... Nie spodziewałeś się mego przyjazdu, he?... bo i jakże miałeś się spodziewać, jeżeli wcale o tem nie byłeś powiadomiony?... Zaraz po przyjeździe dowiaduję się o waszym festynie i także o tem, że ty miałeś brać w nim udział w takim właśnie kostjumie... Postanowiłem skorzystać natychmiast z okazji, aby niespodziankę sprawić i tak oto powitać się z tobą... Ale co to znaczy? stoisz jak niemowa... nic mi nie masz do powiedzenia?... nic nie mówisz?

EDMUND: Wybacz mój drogi... niespodzianka... radość... a... także...

CHYLEWSKI: Zdaje mi się, żeś bardzo zmieszany... może ci niedobrze?

EDMUND (*stara się przyjść do siebie*): Dobrze mówisz, że tylko się zdaje...

CHYLEWSKI: Nie zwykłem się mylić... ach, zdaje mi się, że rozumiem.

EDMUND (*znów zmieszany*): Co takiego?

CHYLEWSKI: Zostałeś radcą sprawiedliwości, więc niepodoba ci się, że z taką poufałością do ciebie przystąpiłem... że zaniechałem ukłonów i tytułów... Proszę najmocniej o przebaczenie... nie zastanawiałem się nad tem... Do licha! przecież to samo przez się jasne, że każdy pan radca a osobliwie ministerjalny musi otaczać się nimbem powagi, inaczej mogłoby się rozwiązać całe dostojenstwo zwisające w tak uroczym obłoku.

EDMUND: Niech cię takie myśli nie mamią!... Dla ciebie jestem zawsze twoim Edmundem.

CHYLEWSKI: Cieszę się całą duszą z twojego szczęścia!... sprawia mi to taką przyjemność, jak gdyby mnie samego to było spotkało...

EDMUND: Dzięki ci, Juljusz!... losy zechciały przyjść mi z pomocą w sposób całkiem nadspodziewany...

CHYLEWSKI: I słusznie, bo na to zasługujesz... Zabawa widać ma się już ku końcowi... chodźmy, przejdziemy się po sali, zwiedzimy bufet... niczego jeszcze nie zakosztowałem, a to przecież równa się zbrodni!...

EDMUND: Chodźmy!... *(zabierają się na prawo)*.

CHYLEWSKI: Pamiętaj, że winienesz mi wieczerzę... i... to wieczerzę co się zowie... flaczki, raczki, zraziki... *(wychodzą)*.

#### Scena IV.

Radca KARCZEWSKI i baron LISKE.

*(Wchodzą z lewej w ubiorach zwykłych)*.

BARON: Winszuję panu takiego sukcesu... zabawa nie mogła udać się lepiej, jak się udała.

KARCZEWSKI: Sama dobroć przez usta pańskie mówi. Pan baron się lada czem zadowala...

BARON: Wcale nie przesadzam... śmietanka naszego towarzystwa tutaj się zebrała... Zdaje się, że jest także radca Aksel, mąż ze wszech miar godny i znamienity...

KARCZEWSKI: Jeżeli jest, to wnet go zobaczymy... Północ się zbliża, a o tej godzinie wszyscy maski odkładają... jak opiewa przepis zawieszony w sali balowej...

BARON: To znakomity pomysł... w ten sposób będzie można oddać każdemu przynależne uszanowanie... Czy zauważyłeś pan tę maskę hiszpańską? jest bogata i gustowna... musi to być znakomita osobistość.

KARCZEWSKI: Całkiem zgadzam się z pańską uwagą... Zobaczymy, czy się nasze przepowiednie ziszczą... Przed chwilą wyszedł ze sali z owym czarnym kostjumem, z którym przedtem tańczył... To znak, że się znają... Ale posłuchaj pan... już przed chwilą chciałem z panem baronem o tem pomówić, a za-

omniałem... Czy nie wiesz pan, jakie tu krążą wieści?...

BARON: Nic nie wiem...

KARCZEWSKI: Nie czytałeś pan wczorajszej gazety?

BARON: Nie miałem czasu... cóż to za nowości?

KARCZEWSKI: Że słynny bank Branville zbankrutował, a o właścicielu przepadły wszelkie wieści... Nikt nie wie, dokąd uszedł.

BARON: Szkoda, wielka szkoda... wielu z moich przyjaciół miało tam złożone kapitały... Zapewne pociągnął za sobą w przepaść wielu klientów... Słowo daje, że od pewnego czasu bankructwa za często się powtarzają... trzeba by obmyślić jakie środki zaradcze. To niegodziwe w najwyższym stopniu...

KARCZEWSKI: Tak jest... mimo to taki dziś zwyczaj i taki obyczaj...

BARON: Zwyczaj nigdy nie może uprawomocnić bezprawia...

KARCZEWSKI: To prawda, ale tylko w teorji, w praktyce inaczej się rzeczy bierze.

BARON: Raczej trzeba powiedzieć, że nasz wiek jest wiekiem oszustów i zbrodniarzy... Każdy czyha tylko na zgubę bliźniego, aby przez jego upadek siebie samego wywyższyć.

KARCZEWSKI: Taki to postęp naszych czasów... posuwamy się naprzód jak raki... ze złego wpadamy w gorsze...

BARON: Wstydzę się przynależności do takiego wieku...

KARCZEWSKI: Dawniej było więcej uczciwości i wierności! Teraz daremnie ich szukać wśród ludzi. Ale panie baronie, my tu bawimy się w morały miasto używać balu maskowego...

BARON: Pan radca ma zupełną słuszość... przejdźmy do innych spraw! *(rozprawiają półgłosem)*.

Scena V.

IZYDOR bez maski i ciż.

IZYDOR (z prawej): Czyż byłyby prawdziwe te wieści, obiegające salę, że firma Branville zbankrutowała? Biedny pan Chylewski! tam właśnie miał złożone swe kapitały... Prawda, że zostaje mu jeszcze 400 000 marek ale co będzie, jeżeli radca Aksel mu ich nie odda?... Czeka go ruina najzupełniejsza... Ale ot... tam ci panowie rozprawiają między sobą; może oni wiedzą, czy te pogłoski mają jaką podstawę?... (do Karczewskiego i barona) Panowie, proszę wybaczyć mi moją śmiałość, czy nie słyszeliście panowie, co się mówi o domu Branville? czy to prawda, że upadł?

KARCZEWSKI: Oczywiście prawda...

IZYDOR: Mój Boże!

KARCZEWSKI: Ogłoszenie zostało umieszczone w gazecie urzędowej.

BARON: Czego się pan tak martwisz? Może pan klientem tego banku? w takim razie wielkie dotknęło pana nieszczęście... Co było, wszystko przepadło.

IZYDOR: Nie mnie to dotyczy lecz pewnej znajomej mi osoby, która przez to w ostateczną popadnie nędzę...

KARCZEWSKI: Przyjacielu, jeżeli tak bardzo bierzecie sobie do serca cudze nieszczęście, to mogę wam zaręczyć, że niedługo pożyczycie na świecie...

IZYDOR: Gdybyście, panowie, byli mieli sposobność poznać tego człowieka, zapewne także panom sprawiłoby wielką przykrość to niefortunne zdarzenie...

KARCZEWSKI: Nie przeczę, że może to być człowiek ze wszech miar godny współczucia, nie zasługujący na takie doświadczenie, ale... ot... oto zbliża się pan radca Aksel.

Scena VI.

EDMUND (bez maski) i ciż, potem CHYLEWSKI również bez maski.

EDMUND: Czuję się zaszczycony tak godnem towarzystwem, jakie się tu znajduje...

KARCZEWSKI: Właśnie zaszczyt to najszczególniejszy dla nas, że pan radca raczył uwzględnić zaprosiny i jestem mu z tego powodu wielce zobowiązany.

EDMUND: Na miłość Boga, nie schlebiajcie mi panowie, jestem wrogiem wszelkich ceremonij.

BARON: Proszę pana radcy, któż to jest owa maska hiszpańska, która mu towarzyszyła do sali?

EDMUND: To mój przyjaciel, który sobie ze mnie żartował, zanim dał się poznać... Przyjechał właśnie dzisiaj rano... paliwoda i żartowniś co się zowie.

KARCZEWSKI: Więc to ktoś obcy?

EDMUND: Tak jest... już od trzech lat nie miałem szczęścia widzieć się z nim... Nasza znajomość jest bardzo starej daty.

KARCZEWSKI: Zapewnie herbowy...

EDMUND: Właściwie nie ma herbu, ale pochodzi z zamężnej rodziny, a obecnie posiada bardzo znaczną fortunę...

KARCZEWSKI: Byłoby rzeczą nader przyjemną poznać go bliżej i zawrzeć z nim przyjaźń... Sądzę, że tego samego zdania jest także pan baron...

BARON: Z pewnością! gdzież on jest?

EDMUND: Nie wiem; zgubił mi się w sali wśród gości...

JULJUSZ: (w sali) ha, ha, ha,... ha, ha, ha, ha,...

EDMUND: To właśnie jego głos,... otóż on sam...

JULJUSZ: (wchodząc) ha, ha, ha,... pardon, panowie, drogi mój radco ministerstwa...

IZYDOR: Nieba! kogóż ja widzę?... to pan Juljusz!

JULJUSZ: Jest to niestosowne ale nie mogę się od śmiechu powstrzymać.

EDMUND: Ciekawym, co ciebie do tego szalonego śmiechu pobudziło?

JULJUSZ: A to zabawne... Pewien jegomość zawikłał się w ogonie pewnej przydługiej sukni... Niech lichy weźmie te ogoniaste suknie... Jegomość potoczył się i bęc na tego, co przed nim stał, a ten znów na drugiego i trzeciego i wszyscy rozciągnęli się na podłodze... ha, ha, ha! Już samo poślizgnięcie się człowieka pobudza mnie do śmiechu a co dopiero takie widowisko z trzech czy czterech, co przewalają się jeden na drugiego krzycząc: oj, aj, ojej, i... u... do licha! Można by pęknąć od śmiechu...

KARCZEWSKI: Zabawne to widowisko...

BARON: Szkoda, że nas nie było przy tem.

JULJUSZ: Słowo daję, że było na co patrzeć...

IZYDOR: On się śmieje i ani się domyśla, jaki straszny grom spadł na jego głowę...

EDMUND: Gdzieżeś ty się zapodział? szukałem cię wszędzie...

JULJUSZ: To nie prawda, do bufetu wcaleś nie zajął... Gdy mnie nigdzie niema, to napewno jestem w jadalni... słodycze są moją słabością... Gdyby naprzykład twój sekretarz, co stoi nieruchomo jak mumja egipska, był ciastkiem, tobym go zjadł w jednej chwili.

KARCZEWSKI: To sekretarz pana radcy? Więc także pan radca sprawiedliwości musi znać pewną osobę, o którą mu bardzo chodzi...

IZYDOR: *(do siebie)*. Oto padł grom!

KARCZEWSKI: A która została zrujnowana przez bankructwo banku Branville...

JULJUSZ: *(w przerażeniu)*. Co? co? jak pan powiedziałeś... Branville?

KARCZEWSKI: Tak, bank ten upadł, a Branville uszedł, nie wiadomo dokąd...

JULJUSZ: *(j. w.)* Boże, Boże!... Któż wam o tem powiedział?... mów pan, powiedz pan że się mylisz, że to żarty...

BARON: Cóż to takiego? cóż to pana tak przeraziło?

KARCZEWSKI: Może tam były złożone pańskie kapitały?

JULJUSZ: Wszystkie moje pieniądze...

KARCZEWSKI: To oczywiście nieszczęście wielkie... ale nie rozpaczaj pan... Gazeta urzędowa o tem bankructwie donosi...

JULJUSZ: *(uderzając się w czoło głosem rozpaczliwym woła)*: Ach! więc jestem zgubiony... wszystko stracone... moja praca, majątek, życie... o ja, niechże i ja idę na marne! *(dobywa rewolwer)*.

BARON: *(odbierając mu broń)* Co pan chcesz czynić?

JULJUSZ: Oddajcie mi broń albo pójdę — skoczę do Wisły *(chce wychodzić, zagradzają mu drogę, otaczają go)*... Puśćcie mnie, wszystko mi zagrabili... mnie... nic mi nie pozostało... nic... puśćcie mnie... przysięgam, że...

KARCZEWSKI: Panie, opamiętaj się pan...

JULJUSZ: Wy nie wiecie, ile trudów kosztowało mnie zbranie tych kapitalów... a ten lotr mnie obdarł z wszystkiego... Jestem żebrakiem *(placze)*... co ja pocznę? do kogo się zwrócę?... Ach Edmundzie, przyjacielu mój...

EDMUND: Lituję się całym sercem nad tobą... chciałbym ci dopomóc... niestety! na razie... ale skoro tylko będę mógł...

JULJUSZ: *(przerywa)*. Niech to wystarczy... już jestem przekonany o tem co to znaczy wspierać w potrzebie przyjaciół... Ogołocisz się ze zasobów, by ratować ich mienie i cześć, a gdy sam się znajdziesz w okropnych terminach, wtedy nikt się do ciebie z

pomocą nie zbliży... Parę słów, parę czczych frazesów i na tem koniec... Niechże i tak będzie... ale teraz nie żądam już niczego od ciebie, niczego oprócz moich własnych pieniędzy...

EDMUND: O jakich pieniądzach chcesz mówić?

JULJUSZ: O 400 000 marek, którem ci niegdyś wypożyczył...

EDMUND: Ja cię nie pojmuje...

JULJUSZ: Nie rozumiesz mnie? Nie pamiętasz już o tem, jak znalazłeś się w takim położeniu, że miano ci wszystko odebrać, a ciebie samego zawlec do więzienia?... Nie pamiętasz, kto cię wtedy poratował?... kto wyrwał cię z nieszczęścia?... Zapomniałeś już, że ci w owej chwili krytycznej wręczył 400 000 marek, któremi zdołałeś zaspokoić swych wierzycieli?

EDMUND: Panowie, miejcie litość nad tym nieszczęśliwcem, mówi w zapamiętaniu...

JULJUSZ: Co? (z wzrastającą goryczą) ja w zapamiętaniu?... czyżbyś naprawdę był zdolnym do zaprzeczenia prawdzie...

EDMUND: Skończmy zaraz... ja niczemu ci nie wiążę, chyba że posiadasz jakie pokwitowanie, a wtedy a'ul słowa nie rzeknę.

JULJUSZ: (jak wyżej): Niegodziwce, lotrze... niceś mi nie winien... złodzieju, więc nie chcesz oddać?... Czy ja śnię... pokwitowania?... ty... przecież ty chciałeś dać mi pokwitowanie, zdrajco, faryzeuszu, a ja nie chciałem przyjąć, bom tobie zaufałem...

EDMUND: Ha, ha, to zabawne!... Któż to w naszych czasach ufa komukolwiek, choćby nawet samemu sobie...

JULJUSZ: (jak wyżej i biegnąc do Izydora). Ty wszakże przypominasz sobie, byłeś świadkiem... mów co wiesz... czy nie pożyczylem w owym dniu 400 000 marek na poratowanie tego niegodziwca? dalej, mów, widziałeś przecie, jak je wyjmowałem, jak mu je wręczyłem...

EDMUND: Potrzeba wykazać się świadectwem na papierze, a nie słowami...

JULJUSZ: Więc wszystko mnie zawodzi i zdradza!... Wezwę cię do trybunału... tam będziesz przysięgał, żeś nic nie otrzymał... tam wezwiesz Boga na świadka, żeś nic nie odebrał... że mój kredyt istnieje tylko w mojej wyobraźni, a raczej wcale nie istnieje!

EDMUND: Wedle woli i potrzeby jestem gotów przysiądz...

JULJUSZ: (jak wyżej). Wszystko stracone! A niebo nie zsyła swych gromów na krzywoprzysięcę? Ziemia się nie otwiera, aby pochłonąć takiego potwora? Ciesz się zdrajco, swem dziełem... patrz na mnie, jako na żebraka... ale pamiętaj, że odtąd do mnie należysz... Ja cię zgniotę,... pomścę się... pijawko krwi mojej... (zamierza się na niego ale wpada w ramiona barona i Karczewskiego).

Zastona spada.

## AKT II.

Ulica. — Po prawej w głębi drzwi do więzienia, gdzie wstępuje się po stopniach. — U góry napis: Więzienie. — Zmierzch.

### Scena I.

Aksel, Bienek i dozorca więzienny z latarnią w reku.

EDMUND: Rozumiałeś?

DOZORCA: Tak, proszę pana radcy.

EDMUND: Niech moje zlecenia jak najdokładniej zostaną wykonane... bo gotówem zamknąć cię do ciemnicy o chlebie i wodzie na cały tydzień albo i na dłużej, jeśli mi się spodoba...

DOZORCA: Za wiele łaski, panie radco!

EDMUND: Przypomnij także komisarzowi policji tam w sali, żeby idąc do domu, wstąpił do mnie z owemi



papierami, o których mówił mi wczoraj... Chcę je przejrzeć, a prawdopodobnie będę miał mu coś do zlecenia...

DOZORCA: Stanie się wedle woli pana radcy.

EDMUND: Sam będę czuwał nad tem, żebyś moje rozkazy dokładnie spełnił (*wychodzi na lewo z Bienkiem*).

DOZORCA (*odprowadziwszy ich z wielu ukłonami, stawia latarnię na ziemi.*): Nieludzki człowiek ten pan radca sprawiedliwości... Twarz posiada istic hycłowska... a ciągle mi się stawia w oczy, tak, że jestem zniewolony patrzeć na nią, jak na księżyc. Ja zaś najchętniejbym ją widział pod szubienicą... a jakże? tamby jej najlepiej przystało!... Niewdzięczna to karjera takiego nadzorca więzienia, słowo daję; jestem za szlachetny do takiego zajęcia... Ach ojczcie mój, ojczcie... ile to razy prosiłem cię, błagałem, byś mnie dał na rzeźmieszka, albo krawca, albo szewca, choćby nawet na poganiacza psów, byle tylko uniknąć tej ohydnej kariery dozorczy, a ty, ojczcie mój kamiennego serca, skazałeś mnie do tego stanu na prawdziwe męki!... Słowo daję, że mam serce z wosku, a jakże! topnieje mi z litości, gdy idzie o przyjęcie jakiegoś obywatela dobrodzieja pod moją opiekę... Ach ojczcie, ojczcie, źleś się względem mnie zasłużył!... Lecz mamy załatwić zlecenie pana radcy, bo prawdę mówiąc, zapowiedziana zamiana roli dozorczy na więźnia wcale mnie nie wabi... za wiele zaszczytu... a do tego o chlebie i wodzie... o wodzie... brrr;... Na samo wspomnienie wody dostaję zajęcej skórki... a jakże! nogi się podemną chwieją... W jednym tygodniu o chlebie i wodzie napewnobym się w gęś lub w żabę przemienił... Zatem nie traćmy czasu! (*bierze latarnię i wchodzi do więzienia*).

## Scena II.

Radca Karczewski i baron Liske. (*Wchodzą z lewej*).

KARCZEWSKI: Całkiem tak sprawa się ma, jak panu opowiedziałem...

BARON: Ależ to niemożliwe...

KARCZEWSKI: Mnie także w ten sposób cała rzecz się przedstawiała w ów wieczór na festynie w moim domu... przypominasz sobie pan ono zajście? Zbiegli się goście i wielce dziwiło ich to nowe wydarzenie... Ja sam mniemałem, że gadał pod wrażeniem nieszczęścia, jakie go spotkało. Dopiero po dwóch miesiącach, spotkawszy go, dowiedziałem się całej prawdy... To zgroza taki postęp!

BARON: Jakże więc tę sprawę przedstawił?

KARCZEWSKI: Zapewniał mnie, że istotnie pożyczył 400 000 marek radcy Aksłowi w chwili wielkiego nieszczęścia, gdy jeszcze był bankierem i pułkownikiem a przez bankructwo firmy Demery znalazł się w niemożliwości spłacenia zaległych obligacji... Radca Aksel chciał wystawić pokwitowanie ale Chylewski ze względu na przyjaźń lat szkolnych i dlatego, że mu mówił o wiecznej dla niego wdzięczności, zadowolił się słowem... Nigdy nie mógł przypuszczać, że przyjaciel w tak haniebny sposób go zdradzi właśnie wtedy, gdy w podobnym znajdzie się nieszczęściu... Tylko ta wypożyczona suma mogłaby go dziś ratować.

BARON: Nie chce mi się w to wierzyć... Raczej przypuszczam, że nieszczęście zamąciło mu umysł...

KARCZEWSKI: Bynajmniej, panie baronie...

BARON: W takim razie pan radca Aksel zasługiwałby na stryczek... Posłużyłoby to za przestrożę i innym łotrom.

KARCZEWSKI: Tymczasem wszystkie zaszczyty spadają na niego. Został nawet radcą sprawiedliwości... To znowu dowód, że łotrom przedewszystkiem na tym świecie fortuna sprzyja...

BARON: Dobrze pan mówisz...

KARCZEWSKI: Pan Chylewski natomiast znajduje się w bardzo oplakanem położeniu... Widziałem go nie-

dawno..., wybladł, niezmiernie posmutniał... Kto wie, do czego może go popchnąć desperacja... Komu to przypisać, jeżeli nie panu Aksłowi?

BARON: Już taki świata bieg: Pokrzywdzeni będą przegrywali... Nicponiom wszystko z góry dobrze się układa.

KARCZEWSKI: Ofiarowałem mu kilka sztuk złota na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb... Przyjął je z takim wyrazem twarzy, że kamienieby do litości poruszył...

BARON: Czy także ja nie mógłbym dlań coś uczynić? Gdzież on mieszka?

KARCZEWSKI: Nie umiem tego panu baronowi powiedzieć...

BARON: To szkoda!... Jeżeli mi się uda go odszukać, uczynię co tylko możliwe... aby go poratować.

KARCZEWSKI: Chodźmy, panie baronie! *(idą na prawo)*

### Scena III.

CHYLEWSKI sam, *blady, wynędzniały, ubogo ale przyzwoicie ubrany. Wchodzi z lewej.*

CHYLEWSKI: Wyrzucono mnie na ulicę za to, że nie mam z czego zapłacić pomieszkania... Chodzę cały dzień o głódzie... wyczerpały się wszystkie zasoby... a teraz co począć? Wyciągnąłem nawet rękę po jałmużnę... prosiłem o kawałek chleba, byle tylko nie umrzeć z głodu, co mnie trawi. Niestety wskazano mi drzwi z ofuknieniem: Idź pracować!... Pracować? szedłbym chętnie, ale jakiej się tu jać pracy? Któż to zechce przyjąć do pracowni człowieka, co na żadnym rzemiośle się nie zna? W biurach ludzi zbankrutowanych nie przyjmują... więc mam marnie zginąć?... Nikt się nie ulituje nad moją dolą? O Boże, jak głęboko pozwoiliłeś mi upaść!... Tymczasem mój wróg triumfuje, tuczy się moją własnością... straszne to... Siły mnie poczynają opuszczać, trzeba gdzieś usiąść,

gdzieś się oprzeć... Tu widać jakąś znaczną kamienicę... spróbuję raz jeszcze... Może... się znajdzie litościwa dusza, co nie pozwoli mi zginąć jak psu na ulicy *(dzwoni.)*

DOZORCA: *(wewnątrz)* Kto tam?

CHYLEWSKI: Na miłość Boską poratujcie mnie, bo zginę...

DOZORCA: *(wychodzi)* Ratunku tutaj? ha, ha, ha, tutaj daremnie go szukacie...

CHYLEWSKI: Przyjmijcie mnie przynajmniej na noc, gdyż mogę zmarznąć tej nocy...

DOZORCA: Mój dobrodzieju, tak bez wszystkiego nie mogę was wpuścić... Obrabujcie kogo, ażeby was zaaresztowali, a wtedy wam bramy więzienne otworzę... *(idzie do więzienia)*.

CHYLEWSKI: Jak? co? co mam czynić? cóż to za miejsce? widocznie więzienie?.. Co za rada... rabować?.. Niech i tak będzie, przynajmniej dadzą co zjeść i będę pod dachem... Ale ta plama... ja, człowiek uczciwy, za taką cenę żyć?.. Nie!.. stanowczo nie!.. Niech się dzieje co chce... Raczej zginąć aniżeli za taką cenę życie zachować. Nigdy nie stanę się zbrodniarzem... Precz stąd... jak najdalej! Hańba, hańba temu, co stał się sprawcą mojej nędzy! *(idzie na prawo.)*

### Scena IV.

AKSEL, BIENEK i DOZORCA.

BIENEK: *(przyszł z lewej — dzwoni.)*

DOZORCA: *(wewnątrz)* Kto tam?

BIENEK: Radca sprawiedliwości pan Aksel.

DOZORCA: *(jak wyżej)*. Biegnę czempredzej... jestem do usług...

EDMUND: Czy każdy z więźniów znajduje się na swoim miejscu?...

DOZORCA: Pan radca może się naocznie przekonać jeśli raczy wstąpić.

EDMUND: A komisarz?

DOZORCA: Czeka w sali... Gdy mu oznajmiłem rozkaz pana radcy, odpowiedział, że będzie zajęty aż do 10. godziny.

EDMUND: Wracam do siebie i tam na niego zaczekam... możesz sobie iść.

DOZORCA: Sługa uniżony, (*wraca*).

BIENEK: Czy pan radca nie spotkał się już więcej z panem Chylewskim po owym wieczorku?

EDMUND: Musiał wyjechać... ale co mnie to może obchodzić?

BIENEK: On dotąd bawi w naszym mieście... spotkał go przed paru dniami... Był błądy i wynędzniały. Panie radco, czyż dawna przyjaźń i znaczne dobrodziejstwo, a choćby tylko wzgląd na jego niedostatek nie skłonią pana do zajęcia się jego losem?

EDMUND: Co mnie cudzy los obchodzi... nie myślę wcale pozbyć się 400 000 marek. Ty z twojami zasadami kpm zostaniesz całe życie.

BIENEK: Ale przecież te pieniądze do pana radcy nie należą... pan radca nie może ich zatrzymać...

EDMUND: Gdyby należało żyć według takiej zasady, toby większa część dzisiejszych bogaczy musiała wyzbyć się swych majątków... a to poprostu głupstwo.... Takich półgłówków chyba na świecie nie znajdziesz...

BIENEK: Wyzdieranie biednemu chleba z ust jest zbrodnią wołającą o pomstę.

EDMUND: Niechże sobie woła, a ciebie niech to nie boli...

BIENEK: Pan radca się nie lęka?

EDMUND: Ani mi się śni... Dotychczas wszystkie wołania o pomstę zamieniły mi się na korzyść... Mam tytaty

urzędy i wyzywam kogobądź, coby się ze mną chciał mierzyc albo mi szkodzić... Na tem dosyć... Już nieraz mówiłem ci, że takie rozmowy mnie nudzą; chce żebyś usłuchał raz na zawsze...

BIENEK: Wiem, że pan radca doznaje wyrzutów sumienia.

EDMUND: Ha ha, wyrzutów sumienia, nie wiem dla czego?

BIENEK: Daremnie się pan radca sili, aby temu zaprzeczyć... radzę panu, dla pańskiego dobra, usłuchać tego głosu...

EDMUND: Usłuchaj ty raczej mojej woli!... Wracam do zamku... ty pospiesz się z wykonaniem danego ci zlecenia... potem przyjdiesz do mnie. (*Bienek odchodzi na lewo*)... Krok już uczyniłem; nie wypada powracać wstecz. Coby świat o mnie pomyślał, coby powiedział po takiej słabostce? A jednak muszę przyznać, że coś mnie naprawdę niepokoi, nieraz przerywa mi nawet sen, zatruwa mi życie... (*stoi w zamyśleniu*).

### Scena V.

CHYLEWSKI i tenże, potem strażnicy i dozorca.

JULJUSZ: (*z lewej*.) Nikogo... nie znalazłem nikogo... Oto idzie ktoś. Boże mój! nie pozwól, żeby mnie znów z niczem odprawiono (*podczas gdy Aksel chce odchodzić, Chylewski zbliża się do niego*). Proszę o miłosierny datek, jestem głodny od wczoraj...

EDMUND: Te nieużyte włóczęgi wszędzie się narzucają... Idź pracować! widać jesteś zdrow a bezczynny...

JULJUSZ: Na Boga! cóż to za głos?... to on! nie myślę się (*poznają się*.) Ach!... Ha, ty złoczyńco... Narzeczcie cię spotykam... teraz mi nie ujdiesz...

EDMUND: Ratujcie!...

JULJUSZ: *(rzuca się na niego, chwytając pod gardło).*

Milcz! to chwila naszego porachunku... zdrajco, zbrodniarzu!... Ty mnie ograbiłeś!... oddawaj moje pieniądze, bo...

EDMUND: *(szamocąc się z Juljuszem, zdola się wyrwać, przemaga go, powala na ziemię, krzycząc):* Prędej, prędzej stróże, strażnicy... złodziej, bandyta! *(wychodzą strażnicy, otaczają Chylewskiego, przychodzi dozorca więzienny).* Bierzcie go, napadł mnie, aby mnie ograbić, ale nie dałem się, powaliłem go na ziemię...

JULJUSZ *(powstając):* Nędzniku, ja bandytą? ja miałem cię ograbić? Słyszeliście?... złodziejem jest on... łotrem on..., on mię ograbił!... Oddaj moje pieniądze... oddaj krwawą zdobycz!

EDMUND: Milcz, podły oprysku!...

JULJUSZ: Ja podły? Boże! jak długo będzie mi ten potwór uragał?

EDMUND: Pamiętaj że znieważasz radcę ministerstwa... odpowiesz za twoje obelgi...

JULJUSZ: Ty radcą ministerstwa? Ty jesteś bandytą i człowiekiem bez sumienia? Hańba ci! *(rzuca mu w twarz kapelusz).* Gardzę tobą, łotrze... pijawko utuczona cudzą krwią!

EDMUND: *(wpada w furję)* Szaleńcze!... Dozorco, oddaję go tobie, zamknij go w najgorszej ciemnicy, a strzeż jak oka w głowie! Głową twoją za niego odpowiesz.

DOZORCA: Stanie się wedle woli pana radcy.

JULJUSZ: *(sarkastycznie).* Pana radcy... wspaniały radca sprawiedliwości! Najpodlejszy gad, jaki ziemia kiedykolwiek nosiła!

EDMUND: Zobaczmy się jeszcze... *(odchodzi na lewo).*

JULJUSZ: Precz mi z oczu... nie lękam się ani ciebie ani twojej złości... Możesz mnie zamordować, ale do

póki tchu we mnie, nie przestanę rzucać ci w twarz twej hańby i czarnej niewdzięczności... Mścić się będę na tobie nawet po śmierci!

*(Prowadzą go do więzienia.)*

*Kurtyna spada.*

### AKT III.

Przedśionek więzienny... Po lewej drzwi wchodowe obite żelazem, po prawej drzwi do jednej z cel więziennych, w głębi kurtyarz, wiodący do wnętrza więzienia. Stół i kilka prostych krzeseł.

#### Scena I.

DOZORCA *sam przy śniadaniu, potem BIENEK.*

DOZORCA: Byłby już czas zasiąść do śniadania... a jakże!... *(stawia na stole butelkę wódki, chleb z kielbasą, siada i je).* Ciągłe ta sama odmiana: chleb i kielbasa, kielbasa i chleb... a jakże!... Dla mnie to za mało... dla mnie trzebaby przekąsków ze stołu wielkich panów, a jakże!... Niestety — muszę się zadowalać tem, co jest... Mój tatuś, panie święć jego duszy! *(przyklada butelkę do ust i pija)* mawiał zwykle, że trzeba się pocieszać, jak kto może... a jakże!... *(znów popija).* Dobra wódeczka... może szczęśliwym trafem żyd zapomniiał dolać do niej wody. Niech żyje, a jakże!... i niech zapomina o tem codziennie... Ha, ha, co to za rozkosz tak sobie popijać jakby z rogu obfitości... jestem szczęśliwy, jak turecki święty na piasku, a jakże!... *(Słychać dzwonek).* Do licha, nawet w tej ważnej chwili mi przeszkadzają... niech ich tam... *(idzie ku drzwiom)* Kto tam?

BIENEK: Otwieraj, sekretarz pana Aksła.

DOZORCA: Zaraz, zaraz, proszę... a jakże! *(otwiera drzwi po lewej).* Czy jakie nowe instrukcje?

BIENEK: Jesteś sam?

DOZORCA: Sam, a jakże! sam ze śniadaniem.

BIENEK: Jakże zachowuje się ów więzień, którego tu w ostatnią noc wsadzono?

DOZORCA: Aha, ten co... *(czyni palcami gest kradzenia)*.

BIENEK: Nie pozwalaj sobie, niedołego... *(chwyta go za rękę)*.

DOZORCA: Oj, oj, powoli, a jakże! połamiesz mi pan palce...

BIENEK: Gdzie on się znajduje?

DOZORCA: Siedzi w tamtej ciupie... oddał mi go pan radca Aksel pod groźbą głowy za głowę... a jakże!... Kiepski interes, a jakże!... Biedaczysko! jak on wygłodzony... Zwykle ci, których tu umieszczają, nie jedzą nic cały pierwszy dzień, a on zjadł za trzech i jeszcze mówił, że tego za mało, a jakże! „Milczał- byś włóczęgo, powiedziałem mu i tyle... a jakże!

BIENEK: Miej dla niego współczucie... a pod żadnym warunkiem nie znieważaj go... to człowiek uczciwy.

DOZORCA: Być może, jeżeli pan tak twierdzi, a jakże!

BIENEK: Bądź tego pewien... on nie zdolny do jakiegokolwiek zbrodni... Dostał się tutaj wskutek oszczerstwa... gdyby nie głód... głód, to wilk okrutny...

DOZORCA: To prawda, a jakże!

BIENEK: Dawniej był człowiekiem zamożnym... wydarto mu wszystko, zrujnowano, wtrącono do więzienia... Zapewniam, że nie wierzę w zbrodnię, jaką mu zarzucają... Zresztą dla zaspokojenia głodu... wśród nędzy trzeba się jąc czegoś...

DOZORCA: Rozumie się, trzeba się jąc czegoś, a jakże! choćby... mimoto lepiej żebrać niż ludzi napadać...

BIENEK: Chociażbym to na własne oczy widział, jeszczebym się nie odważył go obwiniać... Jest rzeczą całkiem niemożliwą, żeby ten człowiek dopuścił się

złego czynu... Śmiało mogę twierdzić, że tutaj idzie o jakieś oszczerstwo celem zgubienia go.

DOZORCA: *(pod wpływem nagłej myśli)*. Aha, teraz rozumiem obelgi rzucone w ten wieczór temu, co go kazał aresztować! Zawszem mówił że ów zbereźnik powinien dyndać na szubienicy.

BIENEK: O kim to mówisz?

DOZORCA: *(reflektuje się)*. Wybacz pan... to tylko taka sobie myśl... to tak... iż tak powiem... No ale co to pan chciales mi powiedzieć?

BIENEK: Przyszedłem tylko po to, aby cię prosić, iżbyś po ludzku obchodził się z tym więźniem, byś mu pozwolił wychodzić na świeże powietrze...

DOZORCA: Co też to pan gada? Gdyby się dowiedział pan radca, gotów urwać mi głowę, a z nią nos tak, że jużby nawet tabaczki nie było możliwym zażywać... mrówki mi chodzą po grzbiecie na samo o tem wspomnienie.

BIENEK: Co ma się dowiedzieć!... wstęp tu zawsze zamknięty... Skoro usłyszysz dzwonek, masz czasu dosyć, żeby go napowrót do celi posłać... bierz *(daje mu do ręki parę monet)*. To lekarstwo na twoje skrupuły... Myślę, że poskutkuje.

DOZORCA: Na takie racje nie mam sposobu odmówić... *(do siebie)* twarz pocziwa, może nie będę musiał żalować...

BIENEK: Więc zgoda, będziesz miał we mnie zawsze wiernego poplecznika.

DOZORCA: Zgoda! Będę mógł częściej zjadać lepsze śniadanie, bo chleb i kiełbasa to wprawdzie coś, ale nie wszystko.

BIENEK: Jadaj, jak ci się podoba, a jemu daj jeszcze ten oto woreczek...

DOZORCA: Jemu?

BIENEK: Tak jemu, ale za nic w świecie nie wyjawiał mu mojego nazwiska.

DOZORCA: Nuż on tego zażąda?

BIENEK: Powiedz mu, że nie wiesz! że to przyjaciel, co się serdecznie nad nim lituje albo, że ty sam mu to dajesz... słowem, rusz konceptem i powiedz mu, co chcesz, tylko mojego nazwiska za nic w świecie nie wyjawiaj.

DOZORCA: Będzie to nieco trudno, ale postaram się...

BIENEK: Spuszczam się na ciebie... Zatem do widzenia... spraw się dobrze! (*Wychodzi*).

DOZORCA: Bądź pan spokojny. (*sam.*) To ciekawe, skąd może pochodzić ta troskliwość, jaką względem więźnia okazuje sekretarz pana Aksla?... Hm, kto to może wiedzieć? zresztą... kasa pana radcy napewno zbiera za bardzo... cały woreczek dla więźnia, a dla mnie te o to parę sztuk... czy nie wypadłoby zamienić? Zobaczymy, ile mi się tego dostało... oho... same jednomarkówki... eh nie, są także dwu-pięć-dziesięciomarkówki... a jakie ładne, czyste... Podobne, rzadko się trafiają zwłaszcza u mnie... Raz, dwa, trzy, pięć, dziesięć, dwadzieścia... do trzystu starych moździerzy... tom teraz bogaty! A ten tu woreczek... ten... ciężki... możnaby zobaczyć... ale nie, nie godzi się... Każdemu swoje... Teraz wypuśćmy sekretarskiego pupila (*otwiera drzwi po prawej*) proszę wyjść — proszę...

### Scena II.

CHYLEWSKI i tenże.

CHYLEWSKI: Czego żadasz odemnie?

DOZORCA: Może panu spodoba się odetchnąć świeżym powietrzem?

CHYLEWSKI: Jak najchętniej... w celi nie można wcale oddychać.

DOZORCA: Właściwie nie mam do tego upoważnienia... ale moje serce jest tak czułe, a jakże!... Staram się wszystkimi sposobami ulżyć doli tych, co się tutaj dostawają...

CHYLEWSKI: Bóg zapłać za dobre serce...

DOZORCA: No, napij się nieco, przyjacielu... Szkoda, że niema szklanki... ale temu łatwo zaradzić, a jakże!... Podsunąć tylko butelkę pod nos... reszta się znajdzie... a jakże... Ja się osobiście ciągle w tem ćwiczę... a jakże! również pan łatwo się wprawisz...

CHYLEWSKI: Nie czuję wcale pragnienia...

DOZORCA: To nie na pragnienie lecz na zalanie fransuku. Może pan nie chce pić po mnie, ręczę że moje usta czyste... a jakże!...

CHYLEWSKI: Jeśli mi o to posądzasz, to się napiję... (*pije*).

DOZORCA: Doskonały trunek... a jakże! Jeszcze raz... jeszcze raz.

CHYLEWSKI: Dziękuję! Tymczasem wystarczy...

DOZORCA: Mam panu jeszcze powiedzieć, że był tu twój przyjaciel.

CHYLEWSKI: Przyjaciel? Ja... nie mam już przyjaciół... może znów ktoś taki, co chce mnie podejść?... Każ mu iść precz...

DOZORCA: Ten napewno pana nie oszuka, znam go...

CHYLEWSKI: Znasz go? Któż to taki?...

DOZORCA: Kto?... właściwie... by tak powiedzieć... nie znam... a raczej znam tak z wyglądu... Nie mogę powiedzieć kto taki...

CHYLEWSKI: Nie chcę zatem o nim wiedzieć...

DOZORCA: Mimo to.. dobrodzieju... (*potrzasa workiem*) oto... dał mi ten woreczek dla ciebie.. abyś mógł w razie potrzeby sobie radzić...

CHYLEWSKI: Dla mnie sakiewka z pieniędzmi?... Muszę go poznać... chcę mu paść do nóg, aby mu za to wdzięczność wyrazić!... Proszę cię, powiedz mi kto on jest... proszę...

DOZORCA: Kiedy nie wiem, a jakże!

CHYLEWSKI: To niemożliwe... ty wiesz, a umyślnie taisz... Dlaczegoż to? przyjacielu, zlituj się... powiedz...

DOZORCA: Pozwól pan, jakże się pan sam nazywa?

CHYLEWSKI: Moje imię Juljusz.

DOZORCA: A więc, mój drogi panie Juljuszu... nie pytaj mnie o to więcej, bo mi więcej nie wolno powiedzieć... Idę odwiedzić pewnego starego więźnia, o którym cały świat zapomniał, a jakże! Długie cierpienie wycieńczyło go niezmiernie, może mu już dni życia są policzone...

CHYLEWSKI: Zapewne skazany na dożywocie?

DOZORCA: Tak i to jeszcze za ulaskawieniem bo na mocy pierwszego wyroku miał zostać rozstrzelany...

CHYLEWSKI: Do licha!

DOZORCA: A całkiem słusznie... a jakże!... zwąchał się z bolszewikami... i z nimi ułożył plan wysadzenia w powietrze naszych żołnierzy... Na szczęście wykryto w porę zdradę, zdrajcę ujęto i zasądzono na śmierć.

CHYLEWSKI: A jak się nazywa ten zdrajca?

DOZORCA: Eugenjusz Korczak.

CHYLEWSKI: Co? Eugenjusz Korczak... mój dawny towarzysz, współuczeń, z któregośmy zawsze żartowali?... To niemożliwe... proszę cię, pozwól mi się z nim zobaczyć, z nim porozmawiać...

DOZORCA: Oj, powoli, panie Juljuszu, a jakże! za wielki z pana gorączka... Przecież to surowo zakazane.

CHYLEWSKI: Proszę cię, nie odmawiaj mi tego... tylko na parę chwil pragnę z nim pozostać... Tobie to nic nie zaszkodzi, a nam może pomódz... Masz tu (wydobywa parę banknotów i daje mu).

DOZORCA: (Bierze). Niechby nas kto zaskoczył?

CHYLEWSKI: Podczas naszej rozmowy możesz stać na straży... Wystarczy jedno twoje skinienie, abym się natychmiast schował do celi.

DOZORCA: Ano, dobrze; niechże już tak będzie... poczekaj pan tutaj, wnet go przyprowadzę (znika w głębi korytarza).

CHYLEWSKI: Co ja słyszę? Eugenjusz zdrajcą ojczyzny, to oczywista niemożliwość... uczeń wzorowy; chyba go skuszono do zbrodni?... Przypominam sobie... pozostawał w biedzie... może dla wydobycia się z długów dał się użyć za narzędzie... ale to przecież hańba... raczej umrzeć aniżeli zdradzić ojczyznę... Tymczasem to pewne, on siedzi we więzieniu... Mój los podobny do jego losu, a kto wie, jak długo to potrwa? Mój Boże, kiedyż zaświta dla mnie dzień wolności? Kiedyż znów wolny i oczyszczony z morderstwa będę zdolen wobec społeczeństwa głośno mówić o niewinności i dobrej sławie zadokumentować? (W głębi jawi się postać Eugenjusza, ma brodę i długie siwe włosy). To ma być Eugenjusz Korczak? Jak on się zmienił i posiwił przed czasem!...

### Scena III.

DOZORCA, EUGENJUSZ i tenże

DOZORCA: Dobrodzieju, oto ten pan, co was zna...

EUGENJUSZ: Kto pan jesteś? mój wzrok już bardzo osłabiony.

CHYLEWSKI: Eugenjusz! mój Eugenjusz!...

EUGENJUSZ: Na Boga ten głos?... Niechże was zobaczę z bliska... Ach! niestety! dzisiaj moje oczy bardziej niż zwykle zamglone... A jednak... tak to ty...

CHYLEWSKI: Tak, to ja Chylewski Juljusz, twój dawny towarzysz szkolny...

EUGENJUSZ: O Boże, jak to dziwne, że się znów spotykamy!... Chodź w moje ramiona... (ściskają się). Jestem zmęczony, siadźmy! (podsuwają mu krzesło) Choroba mnie trawi...

DOZORCA: Zostawię was samych, pójdę stanąć na straży... w razie jakiegoś wypadku, dam znak, a wtedy niech pan Juljusz czempredzej usunie się do swej celi.

CHYLEWSKI: Dobrze, dziękuję.

EUGENJUSZ: Opowiedz mi Juljusz, w jaki sposób się tu dostałeś?

CHYLEWSKI: Niepowodzenie, utrata całego majątku mnie tu wtrąciły, ale spodziewam się rychło stąd wydobyć... A ty Eugenjuszu, cóż to spowodowało cię do dopuszczenia się zdrady ojczyzny?

EUGENJUSZ: Słuszny zarzut, ale nie tak wielka znów moja wina, bo (*kaszle*) ja dałem się tylko użyć za narzędzie, jako wysłannik... Główny i właściwy zdrajca, to nie ja,... wierz mi... bieda... a 500 rubli jakie miałem zarobić... popchnęły mnie do przyjęcia tej roli... Schwytano mnie, wtrącono do więzienia... a prawdziwy zdrajca opływa we wszelkie dostatki, które mu się dostały za zdradę.

CHYLEWSKI: Ten człowiek nie został przez ciebie wydany? To przecie twoją powinnością ratować swe życie i dobre imię.

EUGENJUSZ: Przychodziły mi nieraz podobne myśli... wydać go i przez to uzyskać wolność... Dowodów nie brakuje... Listy jego mam tutaj na piersi ukryte... Ale w krytycznej chwili rzekł do siebie: Wydaniem tego człowieka może zgubisz dwóch, a sam sobie nie wiele pomożesz... Niechże już sam jeden cierpię... takie moje przeznaczenie: cierpieć i nic więcej... Urodziłem się wśród nędzy... w niedostatku spędziłem życie... wciąż tylko cierpię i czekam aż mnie śmierć od wszelkich cierpień uwolni (*kaszle*). Och Boże, dusi mnie kaszel głęboki...

CHYLEWSKI: Ufaj, mój biedny Eugenjuszu!

EUGENJUSZ: Niema co... zapiera mi oddech... (*półgłosem*) z powodu ciebie opuściłem celę... zresztą wcale nie byłbym się ruszył.

CHYLEWSKI: Jestem ci za to wdzięczny... Napij się... może się pokrzepisz...

EUGENJUSZ: Dziękuję, nie mogę...

CHYLEWSKI: Spróbuj tylko,... wypij to.... zrób to dla naszej starej przyjaźni...

EUGENJUSZ: (*pije*). Tak, zdaje mi się, że nieco ulżyło...

CHYLEWSKI: Zachowaj na chwilę spokój, to przejdzie...

EUGENJUSZ: Ja pragnę umrzeć, pragnę gorąco... śmierć położy koniec moim cierpieniom... Ulżyło nieco... napiję się jeszcze raz.... podaj mi szklanekę... (*pije*). Teraz już lepiej...

CHYLEWSKI: Martwi mnie nęzmiernie to oplakane twoje położenie.

EUGENJUSZ: Możliwe? mów, mów! mnie tak miło słuchać słów politowania... Całe lata nic innego nie słyszałem, jak tylko słowa surowe, zarzuty... obelgi...

CHYLEWSKI: Szkoda, żeś nie wyjawił nazwiska tego, co powinien był karę ponosić... Takiej przysługi nie oddaje się nikomu, chyba krewnym lub przyjacielom bliskim.

EUGENJUSZ: Nie mam w tym względzie powodu do tajemnicy... To mój krewny, z którym i ciebie przyjaźń wiązała.

CHYLEWSKI: Jego nazwisko?

EUGENJUSZ: Edmund Aksel.

CHYLEWSKI: (*głośno*). Co? co? jakie to imię wypowiedziałeś?

EUGENJUSZ: Co tobie? czy ci się niedobrze zrobiło?

CHYLEWSKI: (*jak wyżej*) Powtórz jeszcze raz to imię... mówileś... Edmund Aksel?

EUGENJUSZ: A no tak... i co w tem dziwnego... dobrze go znasz.

CHYLEWSKI: (*jak wyżej*). Ha! jeszcze raz cię chwyciłem, lotrze, a będzie to po raz ostatni... Już mi ty



nie ujdiesz... zobaczę cię, zobaczę wijącego się od wstydu u moich nóg. Będzie ta twoja trwoga, twoja hańba dla mnie upragnioną satysfakcją, upojeniem zemsty, rozkoszą... Sprawiedliwość Boża!

EUGENJUSZ: Juljuszu, co ty czynisz?... ty mnie przerażasz.

CHYLEWSKI: Niech się przeraża, niech drży, niech rozpacza on, ten zbrodniarz!... Niebawem cała burza mojego gniewu i mojej zemsty na niego się zwał. Eugenjuszu! daj mi te listy.

EUGENJUSZ: Poco?

CHYLEWSKI: Wnet się dowiesz...

EUGENJUSZ: Listów nigdy nie wydam.

CHYLEWSKI: Daj mi je dobrowolnie... Muszę je mieć, nie cofnę się nawet przed użyciem siły.

EUGENJUSZ: Ani się waż... będę wołał o pomoc...

CHYLEWSKI: Mój drogi Eugenjuszu, ty nie wiesz, że także ja znajduję się tutaj dlatego, że jego przewrotność do ostatecznej nędzy mnie zepchnęła. On tuczy się moimi pieniędzmi, on mi urąga, cieszy się łatwym zwycięstwem! Teraz nadchodzi chwila odwetu... sprawiedliwości... Proszę cię... wydaj mi te listy...

EUGENJUSZ: Pragniesz odwetu? nie, mój drogi, zemsta należy się Bogu!

CHYLEWSKI: Więc co ja pocznę?

EUGENJUSZ: Przebacz mu; pociechą to będzie dla ciebie, gdy jak ja będziesz miał stanąć na sądzie Bożym... daj mi przyrzeczenie... (*dostaje ataku*) ach... znówu... Boże, Boże dech mi zapiera... (*cichym głosem*) Juljuszu... przy... rzeknij... mi... ach, nie mogę...

CHYLEWSKI: Eugenjuszu! Eugenjuszu!

EUGENJUSZ: (*jak wyżej*) Tak... prze... bacz... mojemu... przebacz... mi!...

CHYLEWSKI: Wielki Boże! Eugenjusz... on! — Co za myśl?... tak! (*Zabiera pugilares z listami i chowa, potem woła do drzwi*): Pomocy! ratunku!...

#### Scena IV.

DOZORCA i ciż.

DOZORCA: Co do djaska znaczą te krzyki?

CHYLEWSKI: Nie widzisz? prędeż po lekarza...

DOZORCA: Coś mu pan zrobił?

CHYLEWSKI: Nie widzisz, że go kaszel dusi?

DOZORCA: Prawda (*woła*) Hola! czy jest tam kto? (*przychodzi straż*).

EUGENJUSZ: Ju... Juljuszu... ach... przyrzeknij.. och!...

DOZORCA: Pomóście mi przenieść go do łóżka... potem czempredzej po lekarza (*przenoszą go z krzesłem na którym siedzi*).

CHYLEWSKI: (*Zamierza iść za nimi, ale się zatrzymuje na znak dozorczy*). Stać paniczu, ani się nie ruszyć z miejsca! (*odchodzi korytarzem*).

CHYLEWSKI: Żegnaj mi przyjacielu!... W ostatniej chwili życia twego przemocą nas rozdzielają... (*stoi na chwilę zamyślony*). Pozostał mi przecież skarb z listami... to mnie pociesza... Poczynam już teraz zażywać rozkoszy zwycięstwa nad wrogiem... Zobaczę, co one zawierają?... Żeby mnie tylko nikt nie podpatrzył (*rozgląda się uważnie*). Jestem zupełnie sam (*otwiera pugilares*). List podpisany przez Edmunda... dobrze! (*czyta*): „Oddawca tego listu przynosi wam także pokwitowanie za sumę pieniężną, przyslaną mi jako wynagrodzenie za wyjawienie ruchów naszego wojska“... Ha, ha!... tego mi właśnie potrzeba... (*przewraca dalej*). Jest także pokwitowanie... „Ja niżej podpisany oświadczam“... Doskonale!“ oho... jeszcze drugi list... „Panie generale, do mnie zwróciłeś się Ekscelencjo — (*bolszewik Ekscelencja*) — z obietnicą 6 milionów fran-

ków, gdybym zechciał ułatwić zajęcie miasta“.. Bra-  
wo, mości pułkowniku! A... tu... znów inny list...  
„Ekszelencjo, tak zostało wszystko przezemnie upla-  
nowane, że posiłki nasze nadejdą o 6 godzin później...  
Korzystaj panie generale! Miasto musi się poddać...  
Brakuje w niem amunicji i żywności“... Dobrze!  
Teraz, mości panie pułkowniku, bankierze, radco spr-  
awiedliwości, na porachunek... Tyś mnie zrujnował,  
wtracił do więzienia, może zamyślałeś mnie trapić  
głodem, umorzyć mnie tutaj wśród wstydu i hańby?...  
Teraz nastąpi zmiana kart... Niebo się zniecierpliwiło,  
nie może dłużej na twoje zbrodnie patrzeć... wybiła  
godzina sądu... Przychodzi ktoś... wypada mieć się  
na ostrożności (*chowa wszystko*).

### Scena V.

DOZORCA i tenże.

CHYLEWSKI: Jak tam z nim?

DOZORCA: Poszedł...

CHYLEWSKI: Umarł? umarł tak nagle? Mój biedny  
Eugenjusz!...

DOZORCA: Niema się czego martwić. Oddał Bogu du-  
cha z wielkim spokojem... Rzekłbyś ostatnią ofiarę  
składał...

CHYLEWSKI: Cześć jego pamięci!... To była przeznac-  
na dusza... został uwikłany w sidła przez pewnego nie-  
godziwca, potem opuszczony, zdradzony!... Prawdzi-  
wy winowajca jeszcze żyje na wolnej stopie i opły-  
wa w dostatki. Eugenjusz go nie chciał wydać...  
Spoczywaj w spokoju!... Heroiczna cnota rozświetliła  
tвій zgon... Nie pozostaniesz na zawsze pod jarzmem  
hańby... Zedrę maskę obłudnika... zapłaci naraz za  
wszystkie swe zbrodnie!

DOZORCA: To wszystko bardzo ładne rzeczy... a jakże!  
szkoda tylko, że za bardzo poetyczne. Nim się po-

myśli o innych, trzeba wpieryw nad własną rehabili-  
tacją się zastanowić...

CHYLEWSKI: To nie poezja ani żadna chimera... lecz  
najoczywistsza prawda... Stanę przed władzą i wy-  
jawię rzeczy wielkiej wagi... Wysłuchają mnie i wy-  
nagrodzą...

DOZORCA: Tak, tak, a jakże!... ale tymczasem możesz  
pan wygłaszać swoje rewelacje ścianom własnej ciu-  
py... a jakże! Na dzisiaj dosyć... mógłby ktoś podsłu-  
chać.

CHYLEWSKI: Dobrze! dobrze! potrzebuję spokoju, wy-  
pada uporządkować trochę myśli... przejrzeć doku-  
menta, ułożyć plany... Prowadź mnie ale nie na dłu-  
go... Zaręczam, że wnet się moje więzienie skończy...  
(*wchodzi do drzwi po prawej*).

DOZORCA: Do kata!... jeszcze chwilkę a byłbym dostał  
zawrotu głowy... a jakże! do licha! co za fantazja...  
ten człowiek gotów urządzać pochody na księżyc... a  
jakże!... to mi dopiero wysłowienie!.. Siedź sobie i  
deklamuj, ile ci się podoba... nikomu to nie zaszkodzi  
(*słychać dzwonek*)... Kto tam?

BIENEK: (*za drzwiami*) Sekretarz pana Aksla.

DOZORCA: Zaraz, zaraz!... (*idzie otworzyć*.)

### Scena VI.

BIENEK, potem CHYLEWSKI i tenże.

BIENEK: Gdzie się znajduje twój więzień?

DOZORCA: Ćwiczy się, a jakże! ćwiczy się w kra-  
samowstwie, tam w swej ciupie...

BIENEK: Co ty chcesz powiedzieć?

DOZORCA: Nic, tylko to, że przed chwilką tyle tu rze-  
czy nagadał, iż zdawało mi się, że stoję przed pro-  
kuratorem... To czysty wulkan, gdy gada...

BIENEK: O czem mówił?

DOZORCA: Ktoby z tego był mądry? jeżeli pan chcesz posłuchać, możesz pan użyć do woli...

BIENEK: To na nic... on już całkiem wolny... oto reskrypt uwalniający go zupełnie pod warunkiem, że w przeciągu jednego tygodnia wyjedzie za granicę.

DOZORCA: Jak to? skazano go na wygnanie?...

BIENEK: Bynajmniej!... Ma tam znajomości, stosunki, przyjaciół... mieszkał tam już długie lata... może znów dorobić się majątku... Bierz ten dokument... i tę sakiewkę... może mu się przydać; oddaj mu wszystko i puść go na wolność! (*daje mu papier i sakiewkę*). Do widzenia! (*Odchodzi.*)

DOZORCA: Oddaj mu wszystko... a dla mnie nic... a jakże!... popsuł się... a jakże!... Trudno, trzeba wykonać zlecenie... (*otwiera drzwi po prawej.*) Panie prokuratorze, czy już koniec? czy wolno?

CHYLEWSKI: Idź do kaduka! nie przeszkadzaj mi...

DOZORCA: Gdybyś pan wiedział? mam dla pana wieści przyjemne. Obawiam się, że pan oszalejesz... a jakże!

CHYLEWSKI: (*wychodzi.*) Wieści? co za wieści? gadaj!

DOZORCA: (*do siebie*). Widocznie sfiksował... trzeba się mieć na baczności — a jakże! (*głośno*) tylko się pan nie zapalaj... to nie zdrowo... a jakże!

CHYLEWSKI: Nie marudź! gadaj co jest?...

DOZORCA: Pan — jesteś wolny... oto reskrypt odpowiedni.

CHYLEWSKI: (*krzyczy*): Wolny! wolny! (*bierze papier*). Niech żyje wolność!... czym ci o tem naprzód nie mówił? (*czyta*).

DOZORCA: Ale pod warunkiem, że pan w przeciągu ośmiu dni opuścisz Polskę...

CHYLEWSKI: Aha! chcieliby się mnie pozbyć?... Klnę się na wszystko co żyje, że nie pojedę... Pojedzie za to kto inny — na drugi świat... i to z pod szubienicy.

DOZORCA (*do siebie*): Słowo daję, zwarzjował. (*głośno*): Przyjacielu, oto drugi woreczek z pieniędzmi, ofiarowany ci przez znanego przyjaciela...

CHYLEWSKI: Dawaj tu wszystko... i bądź zdrow! (*ściska go*). Za parę dni dowiesz się rzeczy niesłychanych!... Do dzieła!... (*wychodzi drzwiami głównymi. Dozorca patrzy za nim*)..

Zasłona spada.

## AKT IV.

*Pokój jak w prologu.*

### Scena I.

AKSEL i BIENEK.

BIENEK: Ależ to, panie radco, jest jawna niesprawiedliwość.

EDMUND: Proszę już raz z temi morałami skończyć... Mam tego dosyć, kazań nie chcę więcej słuchać... Jeżeli chcesz być na moim chlebie, to musisz się do moich rozporządzeń bezwarunkowo stosować... Jeżeli zamierzasz nadal udawać świętoszka, to tam są drzwi!... Wiernych sług, którzy skwapliwie będą wykonywać moje zlecenia, nigdy mi nie zabraknie. (*Odchodzi na lewo*).

BIENEK: Niewdzięczny los, co mnie do tego miejsca przykuwa!... Dalby Bóg znaleźć inne biuro,... porzuciłbym natychmiast tego nikczemnika i całą jego służbę... Nie mogę i nie chcę mieć udziału w jego oszustwach... Lecz jakże sobie tymczasem radzić? dokąd się zwrócić? Przychodzi mi szczególna myśl... z moich pensji odłożyłem małą sumkę na czarną godzinę... teraz może mi służyć. Poproszę pana Chylewskiego, żeby mnie zabrał z sobą w świat... Będziemy pracować razem... Gdzież on teraz może przebywać?

Scena II.

CHYLEWSKI i tenże.

CHYLEWSKI: (z prawej — do siebie): Niema nikogo!.. Nie... jest ktoś... zobaczę! (głośno): Przepraszam, czy mógłbym się widzieć...

BIENEK: Kogóż ja widzę? pan Chylewski!

CHYLEWSKI: Bienek!

BIENEK: Szczęśliwy traf... właśnie w tej chwili myślałem o panu, chciałem spotkać się z panem Juljuszem.

CHYLEWSKI: A to dlaczego?

BIENEK: Mam zamiar porzucić dotychczasową służbę i pójść sobie precz... Sumienie mnie do tego nagli... Nie mogę nadal być świadkiem... a czasami osobiście pomagać w postępkach nieuczciwych, karygodnych... Nie jestem bez pieniędzy; odważyłem się nawet częsteczkę ofiarować panu, gdy pan jeszcze znajdował się we więzieniu... Jeżeliby pan zechciał przyjąć mnie do spółki, pojechałbym z panem na koniec świata... Ale zapominam o rzeczy najważniejszej: uchodź pan z tego domu, bo gdyby pan radca zobaczył pana... Pomówimy gdzieindziej.

CHYLEWSKI: Więc to ty jesteś tym dbroczyńcą, co pamiętał o mnie w niedoli?... Pozwól, niech cię uściskam (ściska go). Proponujesz spółkę ze mną? zgoda z góry na wszystko!... Na razie jednak domu tego nie opuszczę ani z miasta nie wyjadę.

BIENEK: Na miłość Boga, co też pan Juljusz mówi?

CHYLEWSKI: Tak, nareszcie radca Aksel dobiegł kresu swych niegodziwości... Kara Boża nad nim zawiśła... głos z grobu, woła o pomstę na zdrajcę...

BIENEK: Jak to? chciałbyś go pan pozbawić życia?

CHYLEWSKI: Nie, nie jestem mordercą, przychodzę tylko dopominać się swojej własności... swej rehabili-

tacji wśród społeczeństwa i pomścić zmarłego, który z grobu domaga się sprawiedliwości.

BIENEK: Mów pan ciszej.

CHYLEWSKI: Owszem podniosę mój głos aż do gwiazd.

BIENEK: Na Boga, słyszę jakiś hałas.

CHYLEWSKI: Już niczego się nie lękam... Posiadam w rękę takie dowody, że zdruzgocę wroga i pograżę go w przepaść, jaką sam sobie przygotował.

BIENEK: Pan masz dowody? jakie? skąd?

CHYLEWSKI: Dowiesz się później.

BIENEK: Panie Juljuszu, proszę posłuchać życzliwej rady: niech niebo samo karze niegodziwość! Wyjdźmy stąd!... W innej krainie czeka nas spokój, pomysłność, szczęście.

CHYLEWSKI: Nie, Izydorze, ty nie wiesz, jak głęboko zraniono to serce!... Nie uspokoję się dopóki...

BIENEK: Dopóki pan nie przebaczy...

CHYLEWSKI: Nie dokonam zemsty... Proszę oznajmić mię Aksłowi.

BIENEK: Odmówi przyjęcia.

CHYLEWSKI: Wystarczy powiedzieć, że jakaś osoba pragnie z nim mówić.

BIENEK: Dobrze, zresztą i z mej strony nie mam się czego więcej obawiać.

CHYLEWSKI: On już nikomu więcej szkodzić nie będzie.

BIENEK: Idę; potem niech będzie co chce (idzie na lewo).

CHYLEWSKI: Nareszcie nadchodzi chwila, której od kilku miesięcy gorąco pragnąłem... Teraz zostanę zaspokojony... Ha lotrze, uspiłeś swe sumienie, ale ci je teraz rozbudzę... A jednak Eugenjusz przed zgonem... żądał przebaczenia dla swego i mojego wroga... przypominam sobie... On chyba się nie mylił... W ta-

kiej chwili widzi się i mówi prawdę... Może to moje pragnienie jest rzeczą niegodziwą... Nużbym poszedł za jego radą?... oddał w ręce Boga moje prawa i moją zemstę?... Wyrzec się takiej przyjemności? Boże, oświeć mię, pomóż mi!... Jeżeli mam się okazać wspaniałomyślnym względem niego tak, jak on okazał się okrutnym względem mnie... Słyszę kroki...

Scena III.

AKSEL I CHYLEWSKI.

EDMUND: Kto życzy sobie ze mną mówić?

CHYLEWSKI: Ja.

EDMUND (*cofając się o krok wstecz*): Kto śmiał mnie oszukać?... Ty odważyłeś się przekroczyć progi mojego domu?

CHYLEWSKI: Tak jest.

EDMUND: Czego ode mnie chcesz?

CHYLEWSKI: Drobnostki... żądam wydania natychmiastowego moich 400 000 marek.

EDMUND: Ha, ha, ha, nie więcej?

CHYLEWSKI: Nie.

EDMUND: Bierz się czempredzej stąd... bo każę cię wyrzucić.

CHYLEWSKI: Oddaj, a dam ci spokój na zawsze... Owszem proszę cię, żebyś dla twojej własnej korzyści nie wystawiał na dłuższą próbę mojej cierpliwości.

EDMUND: Nie wypada mi dłużej się poniżać... Moja godność nie pozwala wdawać się z warjatami i zbrodniarzami.

CHYLEWSKI (*chwyta za krzesło*): Ja zbrodniarzem? Zaklinam się na całe niebo, że...

EDMUND (*unikając ciosu*): Jaka bezczelność!... Hej, kto tam? bywaj.

CHYLEWSKI (*opuszczając krzesło*): Nie odważaj się powtórzyć tego wyrazu, bo jestem gotów... Chcę

jednak zachować spokój we ważnej sprawie... Powtarzam: Zgadzasz się na moje żądanie?

EDMUND: Czyś ty naprawdę oszalał?

CHYLEWSKI: Panie Akseł, oszalejesz ty sam, jeżeli nie posłuchasz. Wiedz, że mam dowody twoich zbrodni tak ważne, że jeżeli pójdę z nimi do sądu, toś zgubiony na zawsze.

EDMUND: Dowody? czego?

CHYLEWSKI: Dowody zdrady z bolszewikami.

EDMUND: Ha, ha, ha! jesteś zabawny... to śmiechu warte.

CHYLEWSKI: Śmieć się dowoli, gdyż wnet przejdzie ci ochota...

EDMUND: Dziwne prorocstwo... ale słuchaj: jeżeli sobie natychmiast nie pójdziesz, jestem gotów wytoczyć ci proces i zamknąć cię do kozy.

CHYLEWSKI: Strachy na wróble!... Za moją porywczosć już odpokutowałem i mam reskrypt, świadczący o mojem uwolnieniu. Za to nad tobą wisi groza surowej kary. Eugenjusz Korczak wszystko przed śmiercią wyjawiał.

EDMUND (*sadzając się na obojętność*): Ja? mylisz się, przyjacielu.

CHYLEWSKI: Nie udawaj... nic ci to już nie pomoże. Ty dobrze wiesz, że on mógł świadczyć przeciwko tobie, bezsumienny, okrutny człowiecze!

EDMUND: Przeciwko mnie? kłamiecie obaj bezczelnie, aby wyludzić ode mnie pieniędzy... Ale nic z tego nie będzie.

CHYLEWSKI: Doprawdy? nic nie będzie? To kłamstwo, to znoszenie się listowe z bolszewikami? to szpiegostwo na rzecz wroga? to wystawienie na zgubę życia tylu żołnierzy? to zaprzękanie ojczyzny? To wyzyskanie nędzy Eugenjusza dla własnych przewrotnych celów? Obiecałeś mu 500 rubli nagrody, któ-

rych nigdy nie otrzymał? to wszystko kłamstwo?... Dalej, odpowiadaj!

EDMUND (*jak wyżej*): To wszystko bajki, sztuczki i nic więcej (*z wymuszonym uśmiechem*). Ha, ha, ha!

CHYLEWSKI: Tak?

EDMUND: Jeśli nie tak, niechże przyjdzie twój Eugenjusz, niech poświadczy!

CHYLEWSKI: On już nie żyje...

EDMUND (*z trudnością ukrywa swą radość*): Aha! nie żyje, a ty z tego chciałbyś ukręcić coś na własną korzyść!... Kiepski z ciebie gracz, a jeszcze gorszy oszust... Nauczę ja ciebie...

CHYLEWSKI: Nie śmiej się przed czasem! on nie żyje, ale ja jestem w posiadaniu pewnych twoich listów bardzo pochlebnych...

EDMUND (*z przerażeniem*): Moje listy? Ty masz moje listy?

CHYLEWSKI (*dobywa pugilares i pokazuje jakiś papier ostentacyjnie*): Oto tutaj są dowody twojej przewrotności.

EDMUND (*nagłym ruchem wydziera mu papier*): Do mnie one należą, niech przepadną na zawsze (*drze go*).

CHYLEWSKI: Ha, ha, ha! za wiele pośpiechu, panie Aksel... Mogłeś przypuścić, że pokażę ci prawdziwe papiery? Z tobą trzeba umieć grać!

EDMUND: W jaki sposób przyszedłeś w posiadanie tych listów... do stu... ty... się... cy?...

CHYLEWSKI (*ironicznie*): Ach! jestem kłamcą, bandyta, zbrodniarzem. Idź do sądu... zaskarż mnie, żem się odważył nastawać na twoją dobrą sławę.

EDMUND: Daj spokój!... jakążto cenę przywiązujesz do tych listów?

CHYLEWSKI: Właściwie należałoby się zrobić z tych listów stosowny użytek jako odwet za krzywdę, jaką mi wyrządziłeś. Ale bądź pewien, nie uczynię

tego... i to z tej prostej przyczyny, że przyrzekłem Eugenjuszowi, iż ci przebaczę... Żądam tylko zwrotu owych 400 000 marek, których ci pożyczyłem.

EDMUND: Dam ci więcej, jeżeli zechcesz... ale zapewnij mnie, że nikomu ani słowem o tej sprawie nie wspomnisz.

CHYLEWSKI: Daję ci słowo honoru, na którym możesz polegać jak na przysiędze.

EDMUND: Dobrze! teraz zostaw mnie na chwilę samego, żebym mógł przyjść nieco do siebie... Przyjdź później! przygotuję tymczasem całą kwotę.

CHYLEWSKI: Jak sobie życzysz... powrócę później... Do widzenia!

EDMUND: Ale na Boga! nie mów nikomu nic o tem.

CHYLEWSKI: Milczeć będę jak grób (*odchodzi na prawo*).

EDMUND: Co to wszystko znaczy? czym czasem nie oszalał?... Więc wszystko wykryto? Ha, Boże, Ty mnie przerażasz, ścigasz w sposób okrutny!... (*myśli*). Oto już nowy pomysł... tak, dobrze! *zwraca oczy ku niebu*). Chciałeś mnie skarać ale nie dam za wygraną... zobaczymy! teraz do dzieła!... (*pisze list i opieczętowawszy go woła w drzwi*): Tomasz! Tomasz!... czyś ogłuchł?... Tomasz!.. do licha Tomasz! (*przychodzi lokaj z prawej*) Ten oto list odnieś wedle adresu... (*lokaj bierze i odchodzi na prawo*) Ty lichoto, ty się odważyłeś mierzyć ze mną? dobrze! podejmuję walkę... zobaczymy, kto zwycięży!... Teraz do Izydora, żeby przygotował sumę, która wnet do mnie wrócić musi... (*myśli*). Izydor oszust, przecie on Chylewskiego zna! Dlaczegoż to, wołając mnie do niego, powiedział, że pan nieznajomy na mnie czeka?... dlaczego to uczynił? Widocznie został wtajemniczony w tę sprawę. Ha, lotry! pomszczę się na jednym i drugim... Izydora wyrzucę zaraz z domu... Izydor... Izydor!...

Scena IV.

BIENEK i tenże.

BIENEK (z lewej): Jestem do pańskich usług.

EDMUND: Niewdzięczniku, tak mi się odplącasz za moje dobrodziejstwa? Wprowadzasz wroga do mojego mieszkania, a potem gadasz o nieznanym? Wynos się czempredziej z mojego domu!... Nigdy już nie przychodź mi przed oczy!... Pamiętaj, że tak na ciebie jak i na niego spadnie mój gniew!... obaj doznacie skutków waszej bezczelności!... Precz stąd, gdyż każę cię wyrzucić!...

BIENEK: Nie trzeba, byś się pan irytował dłużej moim widokiem; wszystko już przygotowałem do opuszczenia tego domu... żeby nadal nie być świadkiem pańskich zbrodni, a następnie także kary Bożej... Gniew pana radcy mnie bynajmniej nie przeraża, a obelgi pańskie są chlubą dla człowieka uczciwego.

EDMUND: Niedoczekanie twoje!  
(Bienek odchodzi na prawo).

Scena V.

LOKAJ i tenże.

LOKAJ: Zlecenie załatwione... Oto odpowiedź.

EDMUND: Gdyby kto pytał o mnie, każesz mu czekać... gdy przyjdą tamci, uwiadomisz mnie natychmiast (mówi mu do ucha).

LOKAJ: Rozumiem, uczynię wedle rozkazu.

EDMUND: Spuszczam się na ciebie (odchodzi na lewo).

LOKAJ: Co tu znów za tajemnice?... Coś się gotuje... jakaś burza okropna... Napotkałem sekretarza... widać było z twarzy, że rozgorączkowany do najwyższego stopnia. A ten list... Tamci spiesznie poczęli się wybierać... I znów te polecenia pana radcy?... do djaska!

Kto to zrozumie?... Ja już całkiem zgłupiałem... Prawda, że pan radca nieraz częściej mnie osłem... i może ma słuszość... ale wina w tem nie moja.

Scena VI.

CHYLEWSKI i LOKAJ.

CHYLEWSKI (z prawej): Otóż jestem z powrotem.

LOKAJ: To pan?

CHYLEWSKI: Tak!... czy w tem co dziwnego?

LOKAJ: To znaczy — chciałem się zapytać, czy to pan miał przyjść do mojego pryncypała?

CHYLEWSKI: Tak jest.

LOKAJ: To go uwiadomię. (Odchodzi na lewo).

CHYLEWSKI: No zobaczymy się po raz ostatni... Jutro wyjadę z Bienkiem na zawsze z tego miasta i będę starał się zapomnieć o smutnych wypadkach, jakie mnie tutaj spotkały... Zdaje mi się, że zaszła we mnie gruntowna zmiana... ale lepiej nie myśleć o tem!... W Szwecji będę mógł znowu zagospodarować się i przygotować sobie spokojną, dobrą, przyjemną starość.

Scena VII.

AKSEL i CHYLEWSKI, potem LOKAJ.

CHYLEWSKI: Okazałem się punktualny.

EDMUND: Nawet za wiele tej skwapliwości.

CHYLEWSKI: To z tego powodu, że mi się śpieszy z wyjazdem za granicę. Dzisiaj poczynię ostateczne niezbędne przygotowania a jutro już będę w drodze.

EDMUND: (jakby w zamyśleniu). A więc to jutro wyjazd?

CHYLEWSKI: Tak jest. Ostatni raz spotykamy się na tej ziemi... Spodziewam się, że gdy znów się spotkamy na sądzie Bożym, wyrównane będą krzywdy i długi.

EDMUND: Moje papiery?... czy mogę je teraz otrzy-  
mać?

CHYLEWSKI: Owszem, mam je tutaj w tym pugilarysie.

EDMUND: Ja także już zebrałem pieniądze żądane  
(*wzdycha*).

CHYLEWSKI: Nie potrzeba wzdychać, gdyż to przecie  
moja własność!... Mógłbym o wiele więcej żądać za  
usługę w oddaniu tych oto dokumentów, ale chcę  
jeszcze raz okazać się wspaniałomyślnym Juljuszem  
z dawniejszych lat, z dni minionego szczęścia.

LOKAJ: (*wchodzi*): Panie radco, idą.

EDMUND: Niech poczekają na chwilę.

CHYLEWSKI: Widzę, że przychodzą goście... Proszę  
więc oddać mi moją należytość i natychmiast cię po-  
żegnam.

EDMUND: Oto... proszę przeliczyć... (*daje mu plik  
z banknotami.*)

CHYLEWSKI: (*przeliczywszy*): Wszystko dokładnie...  
Oto papiery (*wydobywa je i oddaje*).

EDMUND (*porywa je z rąk Juljusza*): Och nareszcie!  
teraz mam w rękach te złowrogie papiery... ile gorz-  
kich chwil były mi one powodem!... Niechże je pożre  
ogień... (*zapala świecę i pali je*) Ot... palą się... my-  
ślałem, że jako produkt piekła, ostaną się przed pło-  
mieniem!... Nikną słowa pisane... mój podpis znika...  
a z nim groźba, skargi, dokumenty, tajemnice... z  
wszystkiego nie pozostaje ani śladu (*gasi świecę*).

CHYLEWSKI: (*do siebie*) Co za szatańska radość!

EDMUND: Teraz, mospanie, precz mi z oczu!

CHYLEWSKI: Z taką żółcią mnie odprawiasz? Czyż  
nie dosyć już wyrzuciłeś na mnie jadu i nienawiści?  
Czyż nie lepiej byłoby pogodzić się i rozstać się w  
spokoju, z błogiem uczuciem pojednania? Edmunde,  
upamiętaj się, daj mi rękę na pożegnanie. (*Edmund*

*podaje mu machinalnie rękę*): Z Bogiem! (*podczas  
gdy Juljusz chce wychodzić na prawo, zastępuje mu  
drogę komisarz policji z dwoma policjantami*).

### Scena ostatnia.

KOMISARZ, dwaj policjanci i cięż.

KOMISARZ: (*zatrzymując Juljusza*) Zatrzymaj się pan.

CHYLEWSKI: Co to znaczy?

EDMUND: Niech pan tego człowieka aresztuje... znaj-  
dziesz pan przy nim 400 000 marek, które do mnie  
należą.

CHYLEWSKI: To ohydna zdrada.

KOMISARZ: (*zbliżywszy się*) Pan pozwoli...

CHYLEWSKI: (*oburzony*) Wolno! prawdą jest, że  
znajduje się przy mnie taka suma, ale on sam mi ją  
dał, jako zwrot pożyczki...

EDMUND: Nie wierz mu pan, przemocą wdarł się do  
mojego mieszkania i przemocą wymógł na mnie te  
pieniądze.

CHYLEWSKI: Ha! bezczelny złoczyńco. Jakto? Więc  
to nieprawda, że ta suma do mnie należy? Nie praw-  
da, żeśmy się ułożyli o zwrot tej pożyczki? Dalej...  
mów czyś...

EDMUND: To wszystko wymysły! Iżę bezczelnie, pro-  
szę go aresztować.

CHYLEWSKI: Więc ty zaprzysiągłeś moją zgubę? To  
wprost niemożliwe! tyle przewrotności nie może się  
mieścić w sercu ludzkim... Otóż... wzywam cię...  
cofnij ten rozkaz... dla twego własnego dobra odwo-  
łaj, coś powiedział.

EDMUND: To gadaniny do niczego nie prowadzące...  
Jesteś i pozostaniesz pan więźniem.

CHYLEWSKI: Proszę zaczekać, panie komisarzu,  
wszystko się zaraz wyjaśni: to nie ja, lecz on musi  
być aresztowany jako zdrajca ojczyzny, który woj-



sko nasze zaprzedał bolszewikom! Przypadkowo dostała mi się do rąk jego korespondencja z generałem sowieckim, a tylko żeby go zachować od zguby wydałem mu ją w tej samej chwili, w której wręczył mi zwrot dawnego długu... Teraz po odebraniu i spaleniu tych dokumentów nie tylko chce mi wydrzeć moje pieniądze, ale nadto chce mnie zniesławić jako zdrajcę i złodzieja. Jakże to możliwem, że bym ja mu wydarł pieniądze, skoro nie przyszedłem potajemnie... nie unikałem go... i pan nie byłbyś mnie spotkał spokojnie wychodzącego.

KOMISARZ: To znaczy, że pan uważasz się za pokrzywdzonego?

CHYLEWSKI: Tak jest, zostałem w haniebny sposób oczerniony.

EDMUND: Łże jak Turek! Gdzież są te listy, o których bredzi?

CHYLEWSKI: Listów pan nie znajdziesz, bo on przed chwilą je spalił.

EDMUND: Ha! ha! bardzo ładne kombinacje.

CHYLEWSKI: Niechże więc wszystkiemu położy się koniec! Chciałem ratować tego człowieka stosownie do przysięgi, która teraz już nie ma racji bytu, gdyż pan radca Aksel swoją niesłychaną zachłannością sam podkopuje swe stanowisko. Zatem (*wydobywa z pugilaresu list*) oto proszę przejrzeć ten dokument, który sam za siebie mówi: jest to list do generała sowieckiego, gdzie znajduje się wzmianka o innych listach, które wręczyłem mu przed chwilką. Zachowałem go zaś niewiem w jakim przeczuciu niebezpieczeństwa. Widocznem się nie pomylił... Chciałem go zniszczyć w domu... Teraz niestety zmuszony jestem zrobić z niego użytek. Czytaj pan i sądz! (*daje list komisarzowi*).

EDMUND: Zdrada, okropna zdrada!

CHYLEWSKI: Sam sobie przypisz całą winę.

KOMISARZ: (*do policjantów wskazując Aksla*) Aresztować pana pułkownika!

EDMUND: Oho! Kto się odważy dotknąć osoby radcy sprawiedliwości?

KOMISARZ: Aresztuję pułkownika Aksla, winnego ciężkiej zdrady na żołnierzu polskim. Czyńcie waszą powinność. Odpowiedzialność za to biorę na siebie.

EDMUND: Nie weźmiecie mnie żywego (*wydobywa rewolwer*).

CHYLEWSKI: (*wyrywając mu broń*) Ani się waż! nie zginiesz z tej broni ale na szubienicy! (*Policjanci otaczają Aksla*).

EDMUND: Zgroza! okropność! przeliczyłem się!... jestem zgubiony! (*wyprowadzają go na prawo*.)

CHYLEWSKI: Bodajby ta kara Boża stała się dla ciebie nauką i nawróceniem — serce kamienne!

*Kurtyna spada.*

KONIEC.